MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 38. WARSZAWA, 28 SIERPNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

MANOWCE WYCHOWAWCZE

„Szczęśliwy, kto mógł w ciągu życia swego zdobyć się na jakie dobre ustanowienie, ale nierównie szczęśliwszy ten, komu okoliczności pozwoliły poprawić swoje własne błędy, które dostrzeże zapomocą długiego doświadczenia".

H. Kołłątaj.

PRZYPOMINA mi się jedna z rozmów, jaką ongiś, jeszcze przed wojną, miałem z dyrektorem gimnazjum, w którem pracowałem, ś. p. d-rem K., niepospolitym, choć nierozgłośnym, pedagogiem, oddanym całą duszą swemu zawodowi. Wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczeń Stanisława Tarnowskiego, przejął się do głębi ideologją mistrza, którą głosił z całem przejęciem jako młody nauczyciel, wstąpiwszy do zawodu. I oto ze zdumieniem spostrzega, że właśnie najlepsi i najzdolniejsi z jego uczniów wyrastają na skrajnych socjalistów, na międzynarodowych, czy beznarodowych radykałów. Zdumiewał się i smucił, nie rozumiejąc, jak jego posiew tak odmienne, a niepożądane może wydawać owoce. Aż oto po latach odbywa się jubileuszowy zjazd jego pierwszych maturzystów. Korzysta ze sposobności zetknięcia się z dawnymi uczniami i wybrawszy kilku najzdolniejszych pyta, co skłoniło ich ku tak skrajnemu radykalizmowi, co zadecydowało o ich przekonaniach. A na to dawny *primus* klasowy, wśród aplauzu kolegów, z entuzjazmem podnosi, że właśnie jemu zawdzięczają ten kierunek, jego właśnie wykłady były dla nich objawieniem. Przeraził się profesor. Jakto, przecież tak potępiał grzechy przeszłości, a zwłaszcza warcholstwo, głosił hasła pracy organicznej, gasił wybuchy niewczesnego zapału...?

— Ależ zupełnie jasne, powiada *primus*, wszakże pańskim wykładom zawdzięczamy uświadomienie, jak grzeszną, głupią i zacofaną była ta dawna Polska. A więc poco nam ona? Plunęliśmy więc na całą przeszłość, na dawną Polskę, zaczynamy od nowa, myślimy i pracujemy nad tem, co najważniejsze... i t. d.

— I wdzięczni za to jesteśmy Panu Profesorowi, — dodaje w zakończeniu.

Dopiero wtedy zrozumiał pedagog, że tyle lat był na manowcach, że złych metod używał. Mistrza uświadomił i pouczył uczeń, co nie rzadko się zdarza, gdy mistrz nie jest ciasnym, ni zarozumiałym.

„Zmieniłem się,—ciągnął dalej mój Dyrektor,— wybrałem inną metodę z gruntu. Na czoło wysunąłem to, co wzniosłe, cenne, trwałe w naszej przeszłości i dorobku kulturalnym. Cieni i grzechów nie zataiłem, ale wyznaczyłem im właściwe miejsce, jako ostrzeżenie i groźne memento. I dalsze pokolenia uczniów były inne".

Ale Dyrektor K. wyrastał nad miarę tuzinkową, a przytem nie tylko nie chorował na nieomylność, ale umiał uznać swe błędy i zawrócić z drogi, gdy okazała się zwodną.

Czy nie byłoby dobrze, by nad tem pomyśleli także dzisiejsi wychowawcy młodzieży, a nawet wychowawcy narodu, organizatorzy szkolnictwa? Podawanie samych wad narodowych, tembardziej ich przejaskrawianie, nie mówiąc o szkalowaniu, złe tylko może wydać owoce.

Lekceważenie przeszłości, choćby się z nią nie zrywało, jest wysoce niebezpieczne. Przypominam sobie, jakie podniosłe chwile przeżywaliśmy niedawno, bez względu na narodowość, w czasie jubileuszu Gimnazjum stanisławowskiego, jaką dumą napełniła wszystkich dawnych uczniów wiadomość, że archiwa wykazały historję 260 lat istnienia naszej *Almae Matris*, w miejsce 200-lecia jezuickiego Kollegjum, które poprzedziła Kolonja Akademji krakowskiej. Tymczasem w stolicy zerwano z przeszłością. Zaczęto od nowa, za-

pominając, że tam przecie powstało pierwsze w Polsce Kollegjum pijarskie, że istniały szkoły jezuickie nawet o wyższym poziomie, bo z filozofją i teologją, że była tam Kolonja Akademicka, w której przecie Piotr Skarga był nauczycielem po ukończeniu nauk w Akademji krakowskiej [1]). W ślepej niechęci do zaborcy zerwano z przeszłością, zapominając, że zrusyfikowane szkoły były przecież dawniej polskie, stworzono pozory, jakgdybyśmy dopiero z odzyskaniem wolności pomyśleli o szkolnictwie, niczem jacyś Łotysze, czy Estowie, pozory tem przykrzejsze, że właśnie w stolicy, którą zagranica najczęściej odwiedza, a często tylko do niej się ogranicza. Czy nie możnaby jeszcze tego teraz naprawić? Niedawno przeniesiono do nowego, okazałego gmachu na Żoliborzu gimnazjum im. księcia Józefa Poniatowskiego. Osobiście żywię wysoki kult dla niego, ale na Żoliborzu należałoby nawiązać bezwzględnie do Konarskiego i przesławnego *Collegium nobilium*, a imieniem ks. Józefa, który tak wysoko wyniósł świętość przysięgi żołnierskiej, nazwać szkołę podchorążych, lub któryś z korpusów kadetów. Czyby znów nie związać gimnazjum im. Władysława IV z tradycją Kollegjum jezuitów, których dom Władysław IV z Cecylją Renatą „hojnemi jałmużnami opatrował“?

Czyż historja nasza rozpoczęła się od sierpnia 1914 roku, a okresem przeddziejowych legend mają być powstania?

A może i w dziedzinie organizacji wartoby sięgnąć do własnej przeszłości, a nie ograniczać się do kopjowania i przerabiania zagranicy, choćby z daltonizmem, metodą projektów i ośrodków, z reformami belgijskiemi i sztutgardzkiemi, czy systemami skandynawskiemi? Jaką kopalnią może tu być korespondencja ks. H. Kołłątaja z T. Czackim [2]).

Jaka skromność bije z listów tych wielkich i twórczych organizatorów szkolnictwa naszego, zwłaszcza gdy się porównają z powiedzeniami i mowami niektórych dzisiejszych zarozumiałych dyletantów.[3])

A gdy wrócimy do chwili obecnej i kierunków forsowanych w dzisiejszych szkołach: czy walka z „nacjonalizmem“ („zoologicznym“, choć określenie to nie ma sensu, bo zoologja nie zna „nacji“, ani nacjonalizmu) nie podcina u korzenia pracy nad wyrobieniem poczucia państwowości? Czy nie wychowuje kosmopolitów, międzynarodowców, jeśli nie beznarodowców, zwłaszcza znów może wśród pojętniejszych, zdolnych do samodzielniejszej myśli i logicznego wysnuwania wniosków? Czy w tem nie leży wytłumaczenie wileńskich i lwowskich niespodzianek? Nie mówię od zielonego stolika. Niechby ktoś ze stojących u szczytu zrobił ankietę wśród niezbyt na szczęście licznych entuzjastów dzisiejszego kierunku i *régime*'u wśród obywateli akademickich, zapewniając szczerość przez gwarancję dyskrecji bezwzględnej, czy nie przeraziłby się procentem panuropejczyków, tolerancyjnych liberałów: „w pełni doceniających wady narodowe i zalety innych“, pacyfistów i kosmopolitów, a także i komunistów?

Czy nie należałoby dokonać rewizji systemu i ocenić bezstronnie jego niepowodzenia i pozytywne wyniki? Czy okażą się zamierzone sukcesy, czy może nieprzewidziane niespodzianki? A jeśli to ostatnie, czyż nie należałoby czegoś naprawić, lub może zawrócić z drogi. Jakże wzniosłe są zacytowane u wstępu słowa Kołłątaja, ale aby je zrozumieć i w czyn wprowadzić, trzeba prawdziwie wielkich ludzi.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

[1]) J. Łukaszewicz: Hisztorja szkół (Poznań 1851).
[2]) Wydana drukiem przez F. Kojsiewicza (Kraków, 1844).
[3]) Drugi cytat poza wstępnym: „A gdzie niestaje oświeconej wiadomości własnej, tam chcę się uczyć...“ T. Czacki.

OCHRONA MNIEJSZOŚCI A IDEA PAŃSTWA

IDEA państwa zmienia się w toku dziejów. Zależy od poziomu kultury, formy rządów, stosunku jednostki do władzy i jednostki do społeczności, zależy więc od całego kompleksu warunków i czynników, składających się na polityczną teraźniejszość państwa. Zmienia się tedy pogląd na cele i zadania państwa, na zakres stosunków, regulowanych wolą tej zorganizowanej społeczności, jaką jest państwo, i stosunków pozostawionych wolnej inicjatywie jednostek. Aktualna idea państwa zmienia się, jak zmiennem i ciągle dążącem jest życie jednostek i społeczeństw. Idea ta jest krytykowana w stosunku do tej, co odeszła, i tej która nadchodzi, czy przyjść winna.

Pragnienie reformy ustroju i zmiany na lepsze kojarzy się nierozerwalnie z wszelką myślą polityczną. Tak więc, idea państwa się zmienia, nieledwie wyrasta ona z ruchu, i ruch ten jest jej cechą najistotniejszą. Trudnem więc byłoby określać ideę państwa statycznie.

Zwracając się do definicji klasycznej państwa, stoimy wobec trzech jego elementów: ludności, władzy i terytorjum. Oczywiście, treść idei państwa bynajmniej nie wyczerpuje się w owych trzech elementach składowych. Zawsze przyjęcie takiej lub innej definicji państwa jest w mniejszym lub większym stopniu symplifikacją zagadnienia. Jednak i w zakresie tych tradycyjnych trzech elementów idea państwa zmienia się: od państwa, leżącego niejako poza społeczeństwem, państwa, którego ideą jest władza jednego człowieka (n. p. monarchja despotyczna), państwa, w którem terytorjum zdaje się być tym istotnym węzłem, łączącym społeczność w jedną całość (państwo patrymonjalne czy feudalne), do państwa, w którem punkt ciężkości przesuwa się na rzecz ludności (takie czy inne formy ustroju republikańskiego i parlamentarnego).

Czy jednak w idei państwa są również jakieś pierwiastki niezmienne i niezależne od aktualnych postulatów ustrojowych?

Niewątpliwie tak. — Idea państwa streszcza się zawsze w tem wszystkiem, co społeczeństwo łączy, a nie dzieli. Mogą to być węzły natury idealnej, czy materjalnej, mogę one wynikać bardziej lub mniej organicznie z życie społeczeństwa, mogą więc być skrystalizowane w wysoko rozwiniętej świadomości narodowej, względnie mogą polegać na ściśle mechanicznem, nietrwałem połączeniu elementów różnych etnicznie, czy geograficznie, czy kulturalnie, w jeden twór państwowy. Cechą wspólną idei państwowej,—zarówno rozkładających się, przedwojennych Austro-Węgier jak jedno-

litej narodowo Francji, czy konsolidujących się Niemiec, — jest i było niewątpliwie to wszystko, co państwa te wewnętrznie zespalało, czy zespala, a nie to, coby je rozdzielać mogło.

Tak więc idea państwowa, nie dająca się ująć statycznie, wyraża się dynamicznie w tendencji zespalania elementów różnych, potęgowania węzłów społecznych, a tem samem wytworzenia warunków, umożliwiających powstanie jednej świadomości narodowej ogółu obywateli.

Środki, jakiemi się państwo posługuje celem wzmocnienia idei państwa, mogą być różne. Pewne grupy będzie ono konsekwentnie z resztą ludności zespalać duchowo, inne przeciwnie, wydzielać i dążyć do ich usunięcia. Dobór tych środków jest kwestją takiej lub innej polityki narodowościowej państwa, istota i cel pozostają zawsze te same.

Aktualna idea państwa realizuje natomiast, względnie winna realizować, poglądy świadomej narodowo części obywateli na najważniejsze zagadnienia ustroju, gospodarcze, czy polityczne w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Można przyjąć, iż poglądy tej właśnie części obywateli będą miały największą wartość dla realizowania idei, zespalającej państwo. Poglądy czy cele polityczne obywateli, czy ich grup, obojętnych idei konsolidacyjnej, względnie idei tej wrogich, nie mogą być z natury rzeczy przez jakiekolwiek, najbardziej nawet liberalne państwo tolerowane.

Konsolidująca idea państwa znalazła najdobitniejszy wyraz w idei państwa jednolitego narodowo. Wielki postulat realizowania idei współczesnego nacjonalizmu, rozkruszył granice państw narodowo niejednolitych i powołał do życia państwa narodowe. Nacjonalizm budując państwa narodowe, rozbudził równocześnie instynkty narodowe grup narodowo w pełni nierozwiniętych, i utrudnia konsolidację państw nowo-powstałych czy odbudowanych.

Tworzący się po wojnie i ustalony traktatami nowy porządek międzynarodowy, realizując w tym względzie zasadę nacjonalizmu współczesnego, nie mógł, a zresztą i nie powinien był zadowolić wszystkich aspiracyj narodowościowych do odrębności państwowej. Ów nowy porządek nie mógł również wyznaczyć granic ściśle wedle stosunków etnicznych, językowych i narodowościowych. Wreszcie nowy porządek międzynarodowy tworzył się nietylko na zasadzie realizowania idei państwa narodowego i hasła samostanowienia narodów. Działały tu — i słusznie — różnorakie względy polityki międzynarodowej.

Postanowiono zapewnić mniejszościom narodowościowym, które nie uzyskały własnego państwa, względnie znalazły się poza granicami państwa, do którego ciążyły, ochronę, i to ochronę w formie traktatów międzynarodowych. Oto uzasadnienie—powiedzmy—idealne tych traktatów: urzeczywistnienie idei samostanowienia narodów i współczesnego nacjonalizmu w formie, zwracającej się bezpośrednio przeciwko nacjonalizmom, które uzyskały pełną możność rozwoju narodu we własnych państwach.

Niewątpliwie jednak bardziej realne uzasadnienie traktatów mniejszościowych dałoby się znaleść w imperjalizmie takich lub innych organizacyj międzynarodowych a także imperjalizmie wielkich narodów.

Czy jednak godzi się idea ochrony mniejszości z ideą współczesnego państwa? Nie chodzi w tej chwili o to, czy idea ochrony mniejszości etnicznych, narodowościowych i religijnych, w formie traktatów międzynarodowych, zgodna jest czy też nie jest zgodna z zasadą suwerenności państwa, ile raczej o to, czy idea ochrony mniejszości zgodną jest z ideą państwa jako takiego.

Ustaliliśmy, że idea jakiegokolwiek państwa, najbardziej nawet liberalnego, polega na potęgowaniu węzłów łączących społeczność, a eliminowaniu wszelkich tendencyj różniących, więc odśrodkowych. Państwo w dobrze rozumianym własnym interesie może uwzględniać wszelkie postulaty swych mniejszości, o ile postulaty te mają linję dośrodkową i nie wykazują tendencyj groźnych dla samej idei państwowej. W tem rozumieniu, każde państwo obowiązane jest do ochrony swych mniejszości, o ile oczywiście mniejszości te swą kulturą, dążeniami i aspiracjami, wprawdzie mają swe własne oblicze indywidualne, w rezultacie jednak umożliwiają tem lepszą syntezę idei państwowej, dążącej do wytworzenia pełnej świadomości narodowej.

Idea solidaryzmu społecznego u Duguita, jednego z najznakomitszych teoretyków prawa publicznego we Francji, realizuje się w solidaryzmie przez podobieństwa i solidaryzmie przez podział pracy. Nie wdając się w krytykę ani w dociekania na temat teorji Duguita, stwierdzić wypada, że szerzej pojęta idea państwowa reprezentuje solidaryzm społeczny nie tylko w dziedzinie ekonomicznej, czy wogóle materjalnej, lecz reprezentuje, jak wyżej powiedziano, całość tych czynników, które składają się na więź, państwo utrzymującą. Więź ta formuje się tem doskonalej, im zacieśniając się, bardziej umożliwia rozwój cech indywidualnych poszczególnych jednostek, grup, stronnictw politycznych, czy nawet mniejszości etnicznych, religijnych lub językowych. Formowanie idei państwowej przez wytępienie wszelkiego przejawu myśli indywidualnej, to jedynie sztuczne, mechaniczne, wzmacnianie więzi społecznej, to hamowanie naturalnego ruchu, więc życia, przygotowywanie bądź cmentarzyska idei państwowej, bądź powodowanie nagłych, nieoczekiwanych zmian.

Tak więc w dobrze zrozumianym własnym interesie rozwoju idei państwowej w kierunku jednej świadomości narodowej, państwo powinno samo, w granicach każdoczesnych potrzeb, dać właściwą ochronę mniejszościom kulturalnym, etnicznym, religijnym, czy narodowościowym.

Natomiast ochrona mniejszości przez czynniki zewnętrzne, częstokroć zainteresowane w dekonsolidacji państwa, z natury rzeczy sprzeczną jest z samą ideą państwa.

Ochrona odrębności i sztuczne podtrzymywanie różnic, ułatwianie i potęgowanie sporów narodowościowych, to wnoszenie niepewności i niepokoju w stosunki wewnętrzno-państwowe a zarazem podtrzymywanie niepotrzebnych złudzeń w dziedzinie stosunków międzynarodowych.

Sztuczna, traktatami narzucona ochrona mniejszości, takich lub innych, wbrew interesom państwa i porządku prawnego, wewnętrznego a także międzynarodowego, nie jest do pogodzenia z ideą państwa jako takiego i nie jest do pogodzenia z postulatem ustalania międzynarodowego porządku prawnego.

ZBIGNIEW WŁADA

Z DZIEJÓW POMORZA

Szkic niniejszy, poświęcony dziejom, które każdy Polak znać dobrze powinien, zawdzięczamy cenionemu w nauce historykowi, dr. Andrzejowi Wojtkowskiemu, dyrektorowi Bibljoteki Raczyńskich w Poznaniu. Dowiadujemy się z niego o spustoszeniach, jakich dokonał na Pomorzu pruski kordon sanitarny przed pierwszym rozbiorem.

W TRZECIM TOMIE swej „*Allgemeine Geschichte vom Anfang der historischen Kenntnirs bis auf unsere Zeiten*“, wydanej w r. 1836 u Herdera we Fryburgu, Carl von Rotteck na str. 438 pisze co następuje:

„Jeszcze w czasie układów o pierwszy rozbiór, wojska austrjackie i pruskie zajęły najdogodniej dla nich położone ziemie polskie; austrjackie w tym celu, „aby te ziemie polskie, które zdawna były zaprzyjaźnione z koroną węgierską, ochronić od nieszczęść współczesnych“, pruskie zaś dlatego, „aby kordonem wojskowym ochronić własny kraj od zarazy, grasującej w Polsce“. — W czasie tego zajmowania ziem polskich dopuszczali się Prusacy ogromnych nadużyć („*ungeheure Gewalttaten*“), nadużyć godnych raczej azjatyckiego zdobywcy i wieku barbarzyństwa, niż władcy europejskiego i wieku humanitarnego. Uwierzyć w nie będzie rzeczą niełatwą dla potomności“.

Jakież to były te barbarzyńskie „*Gewalttaten*“? Rotteck wymienia odbieranie ziemi ludności tubylczej, którą przenoszono przemocą do starych prowincyj pruskich, odbieranie pozostałej ludności zboża i inwentarza, ściąganie z niej podatków i zalewanie kraju fałszywą monetą, branie przemocą rekruta i wydawanie zamąż dziewcząt, wbrew ich woli, za poddanych króla pruskiego. Jako skutek tych barbarzyństw wymienia Rotteck masową ucieczkę ludności do puszcz litewskich („*in die Wildnisse Litthanens*“) lub w kierunku granicy austrjackiej.

Podobne informacje o gospodarce pruskiego kordonu sanitarnego na ziemiach polskich podaje Johannes Müller w trzecim tomie swoich „*Vier und zwanzig Bücher allgemeiner Geschichten*“, napisanych w r. 1797, a wydanych po jego śmierci przez brata, Jana Jerzego Müllera w r. 1817. Na stronie 391 czytamy, że Fryderyk pobierał w województwach wielkopolskich kontrybucje, że uprowadził z Polski 12 tysięcy rodzin i osiedlił je w Marchji, tudzież na Pomorzu pruskiem, żo kazał bić monetę fałszywą ze stemplem króla polskiego, zmuszając wszystkich, którzy kupowali od jego poddanych, do brania takiej monety, a zakazując przyjmowania jej z powrotem przy sprzedawaniu nagromadzonych zasobów, że nadmiernemi cłami niszczył handel, że wreszcie w okresie powszechnego w Europie głodu obrabował polskie magazyny zbożowe. Müller także pisze o masowej ucieczce ludności, zagrożonej zrabowaniem jej przez wojska pruskie, do lasów litewskich i ku granicy austrjackiej, i to nawet w towarzystwie kanoników gnieźnieńskich. Wielu ginęło po drodze lub wpadało w ręce rabusiów. Pozostałych w domu starych rodziców sponiewierano za to, że nie zapobiegli ucieczce swoich dzieci. Wspomina też Müller wreszcie o uprowadzaniu dziewcząt z pogranicza Polski do Prus.

Cóż o tych wydarzeniach mówią nam historycy polscy? — Lelewel w swem „Panowaniu króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego“ nie wspomina o nich ani słówkiem.

Obszernie natomiast pisze Teodor Morawski w piątym tomie swoich „Dziejów narodu polskiego“, zawierającym panowanie Stanisława Augusta. Na stronicy 124 i 125, opierając się głównie na Rottecku i Müllerze oraz na „*Letters concerning the present state of Poland*“ i materjałach archiwalnych angielskich, Morawski wspomina nadużycia, popełniane przez pruski kordon sanitarny. Dowiadujemy się tam, że Paweł Skórzewski, który się opierał wkraczającym w granice Rzeczypospolitej Prusakom, został zdradą przez nich wzięty i zamknięty w Kistrzynie. Z wymienionych współczesnych angielskich „*Letters*“ przytacza Morawski wiadomość o wyciśnięciu z Gdańska 100 tysięcy czerwonych złotych kontrybucji i o zalaniu kraju fałszywą monetą w wysokości 7 do 9 miljonów talarów. „Rzecz prawie do wiary niepodobna: kiedy lud żył żołędzią i zielskiem, żołdactwo pruskie topiło zboże rozmyślnie“, pisze autor dosłownie. Liczbę dziewcząt, wyposażonych w łóżko, krowę, dwa wieprze i trzy dukaty w złocie i wywiezionych następnie do Brandenburgji i na Pomorze pruskie, Morawski podaje na 7 tysięcy.

Oto informacje Morawskiego, oparte na bogatej literaturze, wyliczonej na stronie 125, oraz na materjałach archiwalnych londyńskich.

Henryk Schmidt w drugim tomie swoich „Dziejów Polski XVIII i XIX wieku“, wydanych w r. 1806, na stronie 306 poświęca owym wydarzeniom tylko 8 wierszy, pisząc ostrożnie o ogromnych kontrybucjach „w zbożu i innej żywności“, oraz o „mnogich gwałtach i pokrzywdzeniach najcięższych“, popełnianych przy tem przez Prusaków, a wreszcie o zalaniu kraju fałszywą monetą, a nie wspominając nic o porwaniu sabinek pomorskich.

Tadeusz Korzon w drugim tomie swoich sześciotomowych „Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta“, na str. 34. gospodarce pruskiej poświęca jedną stronę, mniemając, że działo się to w czasie uskuteczniania przez Fryderyka pierwszego rozbioru Polski. Powtarza zwrot Stanisława Augusta o znęcaniu się Prusaków nad zajętemi ziemiami polskiemi „bezprzykładnym w dziejach sposobem“, oraz zdanie konsula francuskiego w Gdańsku, że Prusacy w ciągu kilku miesięcy wyrządzili więcej szkód, niż Rosjanie w ciągu lat czterech. Dalej dowiadujemy się od Korzona, że generałowie Thadden i Belling drogą kontrybucyj wyciągnęli z dóbr ziemskich dochód półtoraroczny, oraz że ambador rosyjski Saldern obliczał kwotę wwiezionych do Polski przez żydów fałszywych talarów na dwa miljony.

A zatem ostrożny Korzon pomija, jak Schmidt, również milczeniem romantyczną historję o uprowadzeniu aż 7 tysięcy dziewcząt pomorskich i wielkopolskich.

Dopiero ks. Kazimierz Zimmermann w swym „Fryderyku Wielkim i jego kolonizacji rolnej na ziemiach polskich“ spróbował wyświetlić dokładniej sprawę uprowadzenia kilku tysięcy dziewcząt z Polski wgłąb monarchji pruskiej.

W tomie I na str. 39 i n. wykazuje, że pierwsza wiadomość o kolonizacji Fryderyka dostała się do Europy za pośrednictwem literatury i „nie opierała

się—jak się zdaje—na fakcie historycznym“. Niejasne to sformułowanie ks. Zimmermanna nie odnosi się do całej kolonizacji, bo ta była faktem historycznym, lecz, jak wynika z dalszego ciągu jego wywodów, dotyczy właśnie uprowadzania dziewcząt z Polski.

Owym utworem literackim, z którego Europa dowiedziała się o losie dziewcząt polskich, jest, jak wykazuje ks. Zimmermann, paszkwil na Fryderyka z r. 1775 p. t. *„Le partage de la Pologne en 7 dialogues“*, tłumaczony także na język polski przez Jacka Przybylskiego. W tym scenicznym utworze pyta król sierżanta o skutek swego edyktu małżeńskiego (*„édit sur les mariages“*). Sierżant zapewnia go, że skutek jest nadzwyczajny, gdyż pomiędzy Płockiem a Malborkiem widział 40 wozów z pannami na wydaniu, wyposażonemi tak, jak Fryderyk w edykcie swym nakazał i jadącemi na zachód.

Stąd to, zdaniem ks. Zimmermanna, przeszła legenda o wywożeniu z Polski do Prus dziewcząt na wydaniu nawet do literatury poważnej, mimo, że w tym samym roku wykazano jej bezpodstawność w broszurce p. t. *„Réfutation littéraire et politique de l'ouvrge ayant pour le titre Le partage etc. à Canterbury 1775“*.

I tak Peyssonel, członek kilku akademij w pisemku p. t. *„Situation politique de la France et ses rapports actuels avec toutes les puissances de l'Europe, adressé an roi et à l'assemblée nationale“*, drukowanem w r. 1789 w Neuchâtel, wylicza nawet szczegółowo, z czego się posag owych nieszczęśliwych dziewcząt składał. Chodziło mianowicie nie o łożko, jak twierdzi Teodor Morawski, lecz o *„lit de plumes“*, czyli o pierzynę, oraz o *„quatre coussins“*, czyli o cztery poduszki, a następnie nie o dwa wieprze, lecz poprostu o trzy świnie (*„trois cochons“*); krowa i trzy dukaty pojawiają się jednakowo u Peyssonela i Morawskiego.

Rulhière w swojej *„Histoire de l'anarchie de Pologne“* pisze, „że w Poznańskiem, każde miasto, każdą wieś skazano na dostarczenie pewnej ilości dziewcząt na wydaniu i na uposażenie ich celem zaludnienia posiadłości domu brandenburskiego“. Posag, według niego, składał się z jednego łóżka, dwóch świń, jednej krowy i 3 dukatów w złocie. Nakoniec dodaje Rulhière, że Fryderyk potępiał tego rodzaju gwałty, że jednakże rozkazy jego były zupełnie bezskuteczne.

Atoli najstarsza wiadomość o uprowadzaniu dziewcząt z Polski nie znajduje się, jak twierdzi ks. Zimmermann, w owym utworze scenicznym z r. 1775, lecz w relacji posła angielskiego w Warszawie z 18 kwietnia 1772 r. W raporcie tym, znanym Fryderykowi Raumerowi, poseł donosi, „że zabiera się parobków i dziewczęta i wzywa się ich, aby zgłaszali się do panów swoich z żądaniami, które (jakkolwiek bez dostatecznego uzasadnienia) z ścisłością wysoko się oblicza i z największą surowością wykonuje“.

Ks. Zimmermann zna to doniesienie posła angielskiego i dokładnie je streszcza, przytacza następnie informacje Müllera, powtórzone w r. 1819 przez historyka Manro w *„Geschite des preussischen Haates vom Hubertusburger Frieden bis zur zweiten Pariser Abkunft“* oraz przez Chrystjana Dohma w *„Denkwürdigkeiten meiner Zeit“*.

A mimo to ks. Zimmermann na str. 38 pisze, że „fakt“ („fakt“ w cudzysłowie) ten „był prawdopodobnie odgłosem gwałtownego zabierania z Polski ludzi, całych rodzin i wsi, mianowicie w r. 1763, o którem liczne pozostały dokumenta w archiwach“. Na zakończenie zaś całego tego wywodu krytycznego dodaje ks. Zimmermann co następuje: „Jeśli się jednak zważy, jakiemi sposobami zabierali oficerowie pruscy i ich podkomendni z ościennych krajów ludzi, dziwić się nie można, jeśli podanie to znalazło wiarę u współczesnych i potomnych“.

A więc sprawa uprowadzania dziewcząt polskich, to zdaniem ks. Zimmermanna „podanie“ tylko. Celem zaś wykazania jej charakteru legendarnego ks. Zimmermann dokonywa pewnego przegrupowania chronologicznego źródeł. Mianowicie na plan pierwszy wysuwa ów paszkwil djalogowany z roku 1775, a na trzeciem dopiero miejscu wylicza relację chronologicznie najstarszą, to jest raport posła angielskiego w Warszawie z kwietnia r. 1772, czyli z okresu, w którym, jak to niebawem zobaczymy, pruski kordon sanitarny na Pomorzu miał się już ku końcowi.

Wobec współczesnego świadectwa angielskiego przedstawiciela doplomatycznego, o którym trudno przypuścić, aby rząd swój zabawiał anegdotami, zmyślonemi przez humorystów dla ośmieszenia Fryderyka, wobec wywodów Rulhière'a, Rottecka, Müllera i innych historyków niemieckich, a wreszcie i Teodora Morawskiego, niepodobna uznać, że ks. Zimmermann wykazał niezbicie legendarność wieści o uprowadzaniu dziewcząt polskich w czasie trwania t. zw. kordonu sanitarnego.

Rzecz charakterystyczna, że ks. Zimmermann nic nie mówi w swojem obszernem dziele o owym kordonie sanitarnym, mimo, że w spisie wydawnictw źródłowych, z których korzystał, figuruje źródło najważniejsze do dziejów tego kordonu i jego gospodarki, mianowicie: *„Politische Correspondenz Friedrichs des Grossen“*. Tomy 30, 31 i 32 tego niezwykle cennego wydawnictwa, zawierające właśnie materjały, dotyczące owego kordonu, były ogłoszone drukiem już na kilka lat przed rokiem 1915, czyli rokiem wydania monografji ks. Zimmermanna.

Pierwsze zarządzenia Fryderyka przeciwko zawleczeniu do Prus zarazy, która w czasie wojny rosyjsko-tureckiej pojawiła się najpierw nad Dniestrem, a stamtąd powoli zbliżała się do Lwowa i dalej w głąb Rzeczypospolitej, pochodzą z lipca r. 1770. Były to wskazówki, udzielone przez króla pułkom pogranicznym i izbom administracyjnym.[1])

W sierpniu tegoż roku zostały wprowadzone paszporty sanitarne dla osób udających się z Polski do Prus,[2]) a w kilka dni później słyszymy o ustanowieniu na Śląsku wojskowego kordonu przeciwzarazowego.[3]) We wrześniu kordon ten przez Nową Marchję objął Prusy Królewskie, idąc przez bory tucholskie do Kwidzynia.[4]) W końcu tegoż miesiąca rząd polski wystosował do rządu pruskiego notę, skarżącą się z powodu zatrzymywania w kwarantannie przez pruski kordon sanitarny pod Grudzią-

[1]) *Polit. Corr.* XXX 46. Fryderyk II 27 lipca 1770 r. do ministrów spraw zagr. Finckensteina i Hertzberga.

[2]) Tamże, str. 57. Fryd. II do Benoîta w Warszawie, 1 sierpnia 1770.

[3]) Tamże, str. 60.

[4]) Tamże, str. 151, 191, 205.

dzem statków polskich, płynących Wisłą z Torunia do Gdańska.[5])

Zajęcie Pomorza aż do linji Tuchola — Kwidzyń wywołało pewne zaniepokojenie w Europie, a przedewszystkiem we Francji. Wobec tego Fryderyk II nakazał swojemu przedstawicielowi dyplomatycznemu w Paryżu zapewnić rząd francuski, że Prusom chodzi jedynie o obronę przeciw zarazie i o nic więcej, i dodał, że to nie od dziś Polacy potrafią każdy drobiazg wyolbrzymić w swoich skargach i wrzaskach[6]). Do przedstawiciela zaś swego w Wiedniu pisał, że nic mu nie jest tak obce, jak myśl o jakiejkolwiek aneksji w Polsce.[7])

Na prośbę Salderna, mimo początkowego wzdragania się, Fryderyk II w październiku r. 1771 swoim kordonem sanitarnym zajął także województwo poznańskie wraz z miastem Poznaniem. Rząd rosyjski był wówczas przekonany, że bez takiej wydatnej pomocy pruskiej przeciwko konfederatom barskim nie byłby zdolny utrzymać swoich wojsk w Polsce przez zimę r. 1771/72.[8]) Fryderyk II nie chciał jednakże objąć swoim kordonem także województwa kaliskiego, o co prosił sam wojewoda kaliski, Ignacy Twardowski.[9])

Zato okupacja Pomorza została z czasem posunięta bardziej ku południowi tak, że i ziemia chełmińska została objęta kordonem pruskim.[10])

Pierwsze wiadomości o rabunkowej gospodarce tegoż kordonu na Pomorzu pochodzą z listopada r. 1770. Mianowicie dnia 19 listopada obaj ministrowie spraw zagranicznych, Finckenstein i Hertzberg, przedłożyli Fryderykowi II notę rządu polskiego, skarżącą się z powodu niszczenia lasów przez wojsko pruskie.[11]) W styczniu roku następnego, 1771, doręczono w Berlinie aż trzy noty polskie z powodu tego nieustającego tępienia lasów, oraz z powodu dostaw dla kordonu.[12])

Ponieważ jednakże zażalenia w Berlinie nic nie pomogły,[13]) ludność pomorska, w okolicy Wejherowa, sama stanęła w obronie swoich lasów i stoczyła z wojskiem pruskiem potyczkę, w której wielu Polaków zostało zabitych lub rannych. Na zażalenie z tego powodu Fryderyk kazał odpowiedzieć, że poszkodowani sami byli sobie winni, bo poco impertynencję swoją posunęli aż tak daleko, że z bronią w ręku chcieli bronić żołnierzom pruskim wyrębu lasów pomorskich?[14]) Fryderyk pozostał nadal nieczułym na skargi Polaków, mimo, że sam Benoît z poselstwa pruskiego w Warszawie prosił go o większe oszczędzanie lasów, gdyż, jak pisał, nic nie oburzało i nie bolało Polaków tak bardzo, jak to bezwzględne niszczenie ich lasów.[15])

(Dok. n.) ANDRZEJ WOJTKOWSKI

---

[5]) Tamże, str. 183. Fryd. II w piśmie do Benoîta z 10 października 1770 wspomina o tej nocie polskiej, datowanej 29 września tegoż roku.

[6]) „*Polit. Corr.*" XXX, 435, list z 7 lutego 1771 r.

[7]) Tamże, str. 390, list z 16 stycznia 1771 r.

[8]) „*Polit. Corr.*" XXI 293. Odpowiedź odmowna Fryderyka II z 11 sierpnia 1771 r. na prośbę tegoż z dnia 31 lipca 1771 r. Lecz w liście do Solmsa z dnia 20 października pisze :„*Pour la* (-(*Russie*)-) *soulager dans tous ces différents arrangements, je veux aussi céder à ses instances et faire occuper la ville de Posen par mes troupes*": Panin kazał był oświadczyć Solmsowi „*que la chose* (-(zajęcie Poznania)-) *lui tenait fort à coeur, et que, sans ce secours d'ami de Vorte Majesté, on sera fort embarrassé de se maintenir cet hiver en Pologne et d'y conserver la supériorité nécessaire.*" (tamże, str. 465).

[9]) *Polit. Corr.* XXX 456—457. Fryd. II do pułkownika Schlichtinga 17 lutego 1771.

[10]) Wynika to ze skarg biskupa chełmińskiego, Andrzeja Baiera, i wojewody chełmińskiego, Franciszka Czapskiego, z powodu nadużyć kordonu pruskiego, o czem pisze Fryd. II do Finckensteina 26 lutego 1771 r. (tamże to n XXX, 480).

[11]) Tamże, t. XXX, 277. Ministrowie mówią o nocie polskiej, że dotyczy „*Holzforderungen und Waldverwüstungen durch die preussischen den Cordon bildenden Truppen*".

[12]) Tamże, str. 428. Fryderyk II do departamentu spraw zagranicznych, 6 lutego 1771 r. Noty polskie „*au sujet de la coupe des bois et des livraisons des fourages á mon cordon*", były datowane dnia 15 i 21 stycznia 1771 r.

[13]) W cytowanem w uwadze 4 piśmie król kazał sporządzić „*une réplique bien ambiguë et vague, sans entrer dans le moindre éclaircissement sur les différents objets de ces plaintes*".

[14]) „*Polit Corr.*" XXXI, 9. Fryder. II do Benoîta, 6 marca 1771 r.: „*que les coups que quelques Polonais s'étaient attirés de leur part, étaient des suites naturelles des procedés impertinents dont ceux — ci avaient usé á leur égard*".

Wydawca, Gustaw Berthold Volz, dodaje w uwadze następujące objaśnienie: „*Bei Neustadt, Starostei Geogenburg, wares zwischen einem preussischen Commando und den Einwohnern, die sich dem Holzfällen widersetzten, zu Tätlichkeiten gekommen. Mehrere Polen wurden verwundet und Getotet*"

[15]) Tamże, str. 42. Wydawca pisze w uwadze: „*Benott trat, Warschau 16 März* (-(*1771*)-) *für eine grössere Schonung der Walder ein*", król mu odpowiedział dnia 24 marca: „*Vous savez par experience que l'on est accoutumé en Pologne de jeter de grands cris sur la moindre bagatelle. Je ne saurais donc guère faire réflexion á toutes les exagérations qui se font á ce sujet, et encore moins à ce qui concerne la coupe du bois*".

M. S. GUMILOW I „AKMEIŚCI" ROSYJSCY

(W JEDENASTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI POETY)

NIE największym bynajmniej i nie najoryginalniejszym, ale bodaj największy urok roztaczającym z pośród poetów rosyjskich—był Mikołaj Stiepanowicz Gumilow. I jeżeli trudno byłoby znaleźć określenie, trafniej charakteryzujące Oskara Wilde'a, niż to, którem Autinousa w aksamitnym berecie obdarzył Parandowski: „Król życia" — nie mniej trafne byłoby to określenie w stosunku do Gumilowa.

Jest przecie pewna zasadnicza różnica pomiędzy Wilde'em i Gumilowem w pojmowaniu owego „majestatu królewskiego". Dlą Wilde'a słowo życie identyczne jest z użyciem; dla Gumilowa — z przeżyciem.

Przeżycie — to cały Gumilow. Od lat najwcześniejszych do śmierci tragicznej starał się poeta rosyjski żyć tak, by w chwili zgonu móc powiedzieć sobie: — Żyłem naprawdę. Jest w Gumilowie coś z bohaterów Conrada. Jak oni, dopiero wtedy czuje, że może indywidualność swą rozwinąć w całaj pełni, gdy staje z życiem twarzą w twarz i wydziera mu jego tajemnice, bez względu na to, czy go los będzie darzył czy chłostał. Dopiero w silnem przeżyciu poznaje prawdziwą wartość słów:

Bóg, człowiek, życie, śmierć, miłość, nienawiść... Ze wszystkich poetów rosyjskich Gumilow był bodaj jedynym, który nie uszedł precz od życia, nie odwrócił się doń plecami, ale rzucił mu rękawicę. To też, w przeciwieństwie do całej współczesnej mu poezji rosyjskiej, twórczość jego pełna jest rozsłonecznienia, radości i szlachetnej wiary w Boga, człowieka, świat i siebie samego... Pojmowanie życia jako walki—i to walki, która nie jest jedynie złem koniecznem, od którego można uciec, a właściwie nawet trzeba: zapomocą przecięcia sobie żył — ale walki radosnej, bohaterskiej, prowadzonej z wiarą w zwycięstwo, zbliża Gumilowa do pisarzy polskich, między innymi do Sienkiewicza.

Być poetą—według Gumilowa—to nie znaczy tylko tworzyć pięknie; trzeba pięknie żyć, poznać pełnię i wartość życia, w twórczości zaś dać wyraz swemu do życia stosunkowi i zmusić czytelnika, żeby wierzył w świat tak, jak poeta, i widział go jego oczyma. Dlatego też poezja Gumilowa tętni życiem; prawie wcale niema tam abstrakcji, a co za tem idzie i symbololiki. Nic nie było bardziej obce Gumilowowi, jak właśnie symbolizm.

A przecie, gdy zaczął pisać (około r. 1910) — w poezji rosyjskiej symbolizm panował niepodzielnie. Dawno minęły już czasy, gdy w poezji tej panoszyło się społecznikostwo (Niekrasow) lub pulsowało uczucie, niczem potok rozsadzające wszystkie tamy (Łochwickaja, Nadson). Przyniesiona z Francji moda w krótkim czasie nastroiła poezję rosyjską na nutę Maeterlincka, Mallarmé'go i Verlaine'a. W Rosji, gdzie zawsze była skłonność do abstrakcji, mistycyzm i symbolizm pociągnęły ku sobie największe talenty. Błok, najznakomitszy z symbolistów; obok niego, nieporównani mistrzowie formy, Briusow i Balmont; głęboki, ale i mglisty filozof Włodzimierz Sołowjow, Wiaczesław Iwanow, synteza symbolisty i klasyka, wielbiącego heleńskość — oto imiona, któremi się szczyci symbolizm rosyjski, a wraz z nim cała poezja tego narodu. Olbrzymie zasługi symbolizmu w zakresie wydoskonalenia formy poetyckiej (przedewszystkiem Briusow) nie szły jednak w parze z wartościami treściowemi. Metafizyczne i symboliczne łamańce czyniły poezję rosyjską coraz bardziej bezduszną; począł się wkradać konwencjonalizm, rosła coraz to większa przepaść pomiędzy szatą poetycką, a tem, co w szatę tę miało być odziane, a jednocześnie przepaść pomiędzy twórcą i czytelnikiem, który—naogół bardzo kulturalny—przestawał rozumieć poetów.

I właśnie w tym krytycznym momencie grupa młodych twórców wydała w piśmie „Apollo" mamifest, w którym się zrzekała wszelkiej łączności z symbolistami, a ogłaszała nowy program poetycki. W piękną formę ubrać piękną treść—oto ich myśl przewodnia: Obie te strony twórczości doprowadzić do rozkwitu najwyższego, by się u szczytu złały w harmonję — stąd nazwa ich „akmeiści" od „akmé" — rozkwit.

Mistrzami swymi ogłosili akmeiści Villon'a, Szekspira, Rabelais'ego i Gauthier'a. Oto jak sami scharakteryzowali oni przykładowo swój program poetycki, w odróżnieniu od symbolistów: — Wielbię i opiewam różę dlatego, że jest piękna, nie zaś — że jest symbolem mistycznej czystości — pisał najwybitniejszy z akmeistów, właśnie Mikołaj Stiepanowicz Gumilow.

Rozpoczęła się walka, którą przerwały dopiero wojna i rewolucja, a także ukazanie się nowych prądów literackich, jak imażizm, futuryzm (Igor Siewierianin, Majakowskij). Akmeiści zgrupowali około siebie t. zw. „Gildję Poetycką", która zostawiła wcale pokaźną spuściznę w postaci kilku tomów poezyj. I akmeizm nie ustrzegł się przesady i nie uniknął dekadencji; wydał on jednak trójkę naprawdę niepospolitych twórców: Gumilowa, żonę jego, Annę Achmatową (Gorienko) i Siergieja Gorodieckiego. Prócz nich, piękną formą wiersza wybił się ponad innych poetów z „Gildji" — Józfe. Mandelsztam.

Poezje Achmatowej tchną przeczystym liryzmem, ubranym w bardzo prostą, a przecie niezwykle piękną formę. Gorodieckij, poeta utalentowany, zbyt często oddawał pióro na usługi spraw, nie mających z poezją nic wspólnego; okazał się też lichą postacią, jako człowiek.

Najwybitniejszym jednak poetą ze szkoły akmeistów był Gumilow. Poetycka spuścizna jego jest bogata i urozmaicona. Prócz młodocianych prób w prozie i niedokończonych dramatów, ukazał się szereg tomików jego poezyj: „Perły", „Pod obcem niebam", „Stos", „Kołczan", „Słup ognisty", „Namiot", „Ku gwieździe niebieskiej". Wiersze, zebrane w tych zbiorkach, pisane były w latach 1910—1921. Rozmaita jest ich wartość, odmienna występuje w każdym zbiorku skala zainteresowań i nastrojów. Przez wszystkie jednak nicią czerwoną przewija się: radość życia, kult człowieczeństwa i miłości, kobiecości i męstwa.

Urządzić sobie piękne życie—było myślą główną młodego Gumilowa. Żyć tak, by czuć, że się żyje!... Wszystko w nim kotłowało wielkiem umiłowaniem życia, żądzę walki, która życia jest treścią. „Pragnąłem być strzałą, wypuszczoną z łuku Nemroda lub Achillesa!" — woła w jednym z wierszy, zebranych w „Kołczanie".

Atmosfera, w jakiej wzrósł—środowisko, z którego wyszedł: inteligencja, zbliżona do sfer dworskich, z jej życiem cieplarnianem, z troskliwem odsuwaniem się od wszelkich możliwych trosk i przykrości, sybarytyzm, choćby nawet przy najintensywniejszem życiu literackiem i artystycznem — wszystko to nie zadowalało bujnej natury młodego poety, który pragnął życia pełniejszego, bogatszego we wrażenia. I w wieku kolei żelaznych i samochodów — odwraca się Gumilow od nieciekawej, choć i kipiącej swoistem życiem, żelazobetonowej rzeczywistości i skierowuje myśl swą i serce ku wiekom przeszłym. W zbiorze „Żemczuga" („Perły") większość utworów przenosi nas w przeszłość odległą. I talent artysty dokonał swego. Jakiś czar dziwny, choć chwilami i straszny, wieje od wieków dawnych poprzez melodyjne, pełne nastroju, mieniące się obrazami barwnemi — wiersze. I w tem znów występuje podobieństwo Gumilowa do Sienkiewicza—wyidealizowanie lub przynajmniej otulenie urokiem nieodpartym przeszłości. Nie potrzebujemy w tych wierszach doszukiwać się symboliki— żywi ludzie zmartwychwstają przed nami: Don Juan, Semiramida, kochanka Tymara, Beatrycze (wiersz, przepojony melodyjnością, której równą trudno znaleźć nawet w całej nowoczesnej poezji rosyjskiej)—a nadewszystko wybija się wspaniała parafraza Homerowej pieśni z „Odyssei" o wymordowanie zalotników Penelopy, kończąca się apostrofą do Telemaka, pełną tęsknoty za czemś piękniejszem i szlachetniejszem, niż rzeczywistość:

„Hejże się zbieraj, mój Telemaku
W długą wędrówkę wężami dróg: —

Musimy służyć na czarnym szlaku
Bezlitosnemu bożyszczu trwóg...

Znów ukochamy mamiącą dal my,
Księżyc nam złotem szlak będzie słał;
I znowu święte ujrzymy palmy,
Wielkiego Pontu spieniony wał...

Choć nie splamione królowej łoże, —
Grzesznych już marzeń poznała moc: —
Czajki są bielsze, jaśniejsze — zorze,
Niźli jej piękność, ciemna, jak noc..."

(Tłum. Konstanty Symonolewicz, jun. Warszawa)

Idealizm erotyczny—będący czemś pośredniem pomiędzy wyrafinowaną, a zarazem i rozpasaną zmysłowością Briusowa — a wpadającym w abstrakcję mistycyzmem miłosnym Błoka — jest jedną z najcharakterystyczniejszych cech twórczości Gumilowa. Umiłowanie kobiety, jako towarzyszki życia, jako doskonałego dopełnienia swego „ja", jako przeciwnego bieguna — wreszcie jako matki swych przyszłych dzieci — łączy się z dziwną tęsknotą za ideałem, mającym się ucieleśnić w kobiecie, z wiarą w nadziemskie piękno jej duszy, z pogardą dla traktowania jej jedynie jako narzędzia ku chwilowej uciesze zmysłowej. I to idealistyczne ustosunkowanie się do kobiety nie opuści go nigdy, mimo bardzo przykre pożycie małżeńskie z Anną Achmatową, które gorycz tylko zrodzić mogło w jego duszy.

W „Żemczugach" także wyśpiewał Gumilow swój najpotężniejszy hymn na cześć męskości, zuchwałości, pragnienia walki — bo rozumiał, że bez nich nie byłoby ni kultury, ni cywilizacji. Wyśpiewał pean chwalebny ku czci „kapitanów", którzy nie zważając na burze i mielizny, skały i „malstromy", wiedli okręty na zdobycie nowych ziem, którzy rozszerzali horyzonty ludzkości:

— „Wszyscyście rycerzami szmaragdowych chramów,
Dłoń dzierżący na sterze w burz wściekłej kipieli.
Goonaldo i Cook, Ta Perouse i Da Gama
I Genueńczyk Kolumb, książę Marzycieli!...

I Kartagińczyk Hanno, książę Senegambji,
Sindbad — żeglarz, Ulysses — wielki król tułaczy...
— Waszą sławę — toń morza w dźwięcznym dytyrambie,
Rytmem wiecznych przypływów piach wybrzeży znaczy".

(tłum. Tadeusz Hollender — Złoczów)

Gdy przychodzą na myśl sławne czyny owych kapitanów, serce zaczyna bić radośnie, i mimowoli wierzy człowiek, że „na świecie są jeszcze kraje, gdzie nie stąpiła noga ludzka", że nasz świat nie zbadany i poetę, który dotychczas gonił myślą w przeszłość, porywa tęsknota za dalekiemi, nieznanemi krajami.

Dwa razy zwiedza Gumilow Afrykę Północną. Pod wrażeniem tych podróży w lat kilka później, już przed śmiercią samą, pisze jeden z najpiękniejszych swych zbiorków poezyj p. t. „Szatior" („Namiot"). W kalejdoskopie poetyckim przsuwają się przed oczyma czytelnika: Egipt, Sahara, Galla, Abisynja, Sudan, Dahomej, Madagaskar i t. d. Całą duszą ukochał poeta Afrykę i jej mieszkańców. Nauczył się — on, aryjczyk w każdym calu — cenić i kochać Islam. Dwa miał marzenia w związku z Afryką: by imieniem jego nazwano jakąś czarną, nowoodkrytę rzekę, i by mógł umrzeć pod tą sykomorą, gdzie z Chrystusem odpoczywała Marja. Ale nie spełniło się jego pragnienie.

Był we Włoszech i potrafił przejąć się kultem dla sztuki średniowiecznej i renesansowej. On — prawosławny, jeżeli nie pod względem praktyk religijnych, to pod względem swej wiary w Boga i w cerkiew prawosławną, jako w Jego „Dom Pański", i Jerozolimę Nową — ocenił rolę katolicyzmu i papiestwa dla kultury europejskiej. Duchem coraz bardziej staje się Europejczykiem zachodnim. Czuje się, wprawdzie, Rosjaninem i to głęboko kochającym swą ojczyznę, ale rosyjskość jego inne ma oblicze, niż u większości poetów.

Nie w słowiańszczyźnie, w płótno białe przybranej, spokojnej, cichej, barciami i sochą się parającej, nie w ponurym bizantynizmie cerkiewnym— ani nawet w drżeniu ziemi pod niezliczonemi kopytami hord Dżyngis — Chanowych widzi Gumilow narodzenie ducha rosyjskiego. On sięga dalej: Normanowie, chciwi krwi i sprzedający swą prawicę i miecz republice czy królowi, morscy rozbójnicy, a zarazem stęsknieni poeci w duszy, sami nie wiedzący, czego szukają — oto jego Rosja. I dlatego tak drogą jest dlań Skandynawja, tak niesamowite ogarnęło go uczucie, gdy stanął w Sztokholmie. — „Czy nie ten kraj — moja ojczyzna?" — woła — „wszak stąd ruszył na podbój Rusi Ruryk z drużyną!.."

W ostatnich swych utworach coraz bardziej podkreśla Gumilow przepaść, dzielącą go od świata mieszczańskiego.. On nie chce umrzeć na swem łożu przy lekazru i notarjuszu...

„Za wszystko, com wziął i czego chcę...
za wszystkie smutki, radości i majaki...
Jak przystoi mężczyźnie,
zapłacę zgonem ostatnim"...

Nie lęka się śmierci. Chce jej w ofierze dać siebie, wzamian za wszystko, co wziął od życia. Gdy w roku 1914 wybuchła wojna, był jedynym z pisarzy rosyskich, który poszedł do wojska. Reszta twórców ustosunkowała się względem wojny raczej obojętnie, Gorodieckij ograniczył sie do napisania strasznie szowinistycznego wiersza. Gumilow jako ochotnik wstąpił do kawalerji, był ranny i dwa razy odznaczony krzyżem św. Jerzego. Wierzył w słuszność sprawy rosyjskiej i z entuzjazmem znosił niewygody życia frontowego.

Gdy wybuchła rewolucja, wyemigrował wraz z innymi piszarzmi zagranicę. Żądza jednak przygód, połączona z nostalgją do stron rodzinnych — sprawiła, że wrócił do Rosji. — Polowałem w Afryca na lwy — mówił — i nie sądzę, by bolszewicy byli straszniejsi.

Mieszkał w Petersburgu lub w pobliżu, kształcił początkujących poetów i brał udział w wielkiem wydawnictwie przekładów, które redagował Gorkij. W roku 1921 uwięziono go pod zarzutem kontrrewolucyjnej działalności i choć sprawa była niejasna, rozstrzelano dn. 23 sierpnia. Kolega zaś po piórze, Gorodieckij napisał wstrętny paszkwil, skierowany przeciw osobie skazanego.

Tak się skończyło to bujne — szczególnie jak na cieplarnianą atmosferę, w jakiej żyją twórcy współcześni — życie. Spełniło się jego życzenie: nie umarł na własnem łożu!.. Jak przystało mężczyźnie, zapłacił cenę najwyższą za wszystkie swe radości, smutki i majaki. Być może, w noc ostatnią przez okno celi więziennej widział księżyc, krwawy i straszny — i przypomniał sobie, że — jak pisał we wspomnieniach z Afryki, — on

„toczno rycarskij szczyt
wiecznoj sławoj gierojam gorit."

TEODOR PARNICKI

NA WIDOWNI

Psychologja wakacyj i Truskawca. — Życie społeczne. — Drzewa. — Poezja, filozofja i nauka. — Muzeum truskawieckie. — Od robaka do człowieka.

WAKACJE dobiegają końca. Obyż tak było istotnie! W Polsce bowiem zbyt długo trwają wakacje: obywatel cały rok jest na urlopie. Zwolniony od trosk publicznych i odpowiedzialności łowi ryby w mętnej wodzie lub gra w brydża. Nawet z obchodów patrjotycznych zrobiono monopol państwowy. Ponieważ cud nad Wisłą stał się permanentny, więc obchód sierpniowy rocznicy 1920 r. już nie jest tolerowany (Bydgoszcz, Jasło), legjoniści otrzymali przywilej świąt pomorskich. Ale nie będę o tem pisał. Mam na myśli wakacje „zdrowotne“ (nie sanacyjne), które obywatel urządza sobie latem z tkliwości dla swych niedomagań cielesnych. W tym celu jeździ np. do Truskawca. Tam już są ferje w drugiej potędze, zupełne odwrócenie od rzeczywistości społecznej. Stąd już nie widać ani Warszawy, ani Genewy, czy Lozanny, bodaj nawet Los Angeles.

— — — — — — — — — — — —

Chciałbym wskazać właśnie, jak na wakacjach człowiek się odspołecznia, jak odwraca się od ludzi i jak wszystkie tendencje psychiczne prą go do przyrody, z którą zyskał chwilowy kontakt. Kiedy odjeżdżał od pługa pracy, już był poniekąd na społecznych wakacjach, a tutaj przecież nie znalazł społeczeństwa. Skupisko ludzkie u zdroju nie da się traktować socjologicznie, jest to czysta zoologja. Każdy sobie, zajęty swoją cielesnością w sposób niedyskretny i nudny. Zresztą co ma z ludźmi robić Polak, ginący tutaj w przeważnej masie żydostwa. gdy ucieka od przyjaciół nawet, aby nie gadać o tem, co zostawił za sobą?

Nawiązać nić z autochtonami? Są to Rusini, odwróceni do nas tyłem. Że tak jest, można to zrozumieć; samiśmy nieraz na to pracowali. Ale że my do nich także tyłem — to gorzej. My dzisiaj nawet nie wiemy, co się wśród naszej braci ruskiej dzieje: daliśmy im moralną autonomję. Nie umielibyśmy powiedzieć, kto i dlaczego w roku ubiegłym zabił tutaj w Truskawcu Hołówkę. Albo to, co się stało w tym roku w pow. Liskim. W najpoczciwszych, choć naiwnych zamiarach Polak dał inicjatywę „święta pracy“ (ach, te święta!!). Ani on, ani władze nie miały pojęcia, na jaki grunt pada ziarno i że z tego wyniknie katastrofa...

Można wyjść za deptak zdrojowy i zajrzeć do chaty — zaraz na Horodyszczu. Przed ubogą chatą wychudzony człowieczek ścina sierpem chude, jak on, żytko: po pięć ziaren w kłosku. Wycieńczone z głodu dziecko z nóżkami, jak zapałki, wytrzeszcza oczy.

— Nie przeszkadza wam fajka w robocie? — pyta kuracjusz.

Chłop robi grymas, chciał się pewno uśmiechnąć:

— Ta fajka już od miesięcy tytuniu nie widziała.

Ssie ją dla ułudy. W chacie niema sprzętów, garnków nawet, ani ognia w kominie. Zapałek dawno nie widzieli, strawy nie gotują. Żywią się chlebem, ale jak!

Lepiej się odwrócić, bo to nie na wakacje. Nie jest to pesymizm, ani dezercja, tylko wielkie zmęczenie i dużo goryczy, że tak wolno idzie podbój cywilizacji polskiej, że idzie ona błądząc lub skokami inicjatywy prywatnej. Truskawiec przecież sam jest pięknem zjawiskiem twórczości polskiej. Ileż tu promieni cywilizacyjnych się ześrodkowało, ile pracy naukowej, ile wiary w zbawczą moc przyrody!

— — — — — — — — — — — —

Siedziałem na ławce koło filozofa. Było to na czarownej polanie za źródłami, otoczonej wieńcem starych drzew. Na tęgiej ziemi tutejszej drzewa szumią jędrnie, jakby w liściach było trochę tego metalu, którym połyska w słońcu woda ze źródeł truskawieckich.

Mówił mi kiedyś Kasprowicz, że na jednej z polan tutaj doznał wzruszeń, które utrwalił w poemacie „Przy szumie drzew“ (z cyklu „Miłość“). Poemat ten — to klucz do zrozumienia duszy Kasprowicza. Nawiedziło go tutaj poczucie zupełnej jedności z przyrodą. Pośrednikiem była kobieta, do której rozgorzał żądzą miłosną.

W wielkiej świątyni Przyrody, pod niebios
Jasnem sklepieniem, w zielonym
Lesie, wyrosłym na łagodnem wzgórzu
Przy drzew poszumie zawarłem z nią śluby.

„Spoczywaliśmy pośród mchów“ — tak brzmi opowieść Kasprowicza. — „Las szumiał, a szumy jego wnikały powoli w wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom zdawał się zmieniać w miljonową cząstkę jakiejś symfonji i zlewać się razem z szumem, z szelestem, z pomrukiem i szeptem drzew, konarami chwiejących nademną. I tajemnicze przejęły mnie dreszcze. I wnet uczułem, że szumiące drzewa nie nad mą głową szumią, lecz we mnie...“

Utwór ten jest pomnikiem psychologji poetyckiej. Poeta usiłuje dotrzeć świadomością do instynktu rozrodczego i wyrazić go słowami. Dla niego misterjum pierwszego pocałunku — to „symbol wieczystego dwóch dusz złączenia i dwóch ciał, o losach rozstrzygający człowieczych, potężny utraconego przed wiekami Raju słoneczne bramy wskroś otwierający symbol...“

Opowiedziałem o tym poemacie filozofowi, a ten mówił potem długo o niepoznawalności tajemnic, które — nas otaczają. Zgodziliśmy się na jedno, że najdalej sięgającemi drogami poznania są religja i poezja. Wzloty Piccarda są symboliczne. Metafizycy tak samo puszczają się balonami w stratosferę nauki i spekulują prawdę absolutną w temperaturze mrozu duchowego. A gdy zapytać uczonego co to jest, co działa w wodzie truskawieckiej, że leczy, to nie umie odpowiedzieć. Niechże odpowiedzą, co to jest miłość, o której pisze poeta, co to jest instynkt Kasprowicza, czy owadu.

Zostało mi w pamięci zaledwie parę powiedzeń truskawieckiego filozofa. Myśl ludzka — mówił — jest tragiczna. Wydaje się człowiekowi, że gdy mówi: „nieskończoność“, albo „wszechność“, to wie, co mówi. A on nie wie; ludzie operują pojęciem wszechności w ten sposób, że czepiają myśl o wyobrażenia tego, co im znane, a resztę dopełniają jakiemś „*et caetera* i tak dalej“. Dlatego tylko nie warjują. Ale niech pan weźmie równie tragiczne pojęcie: Nic, albo Nigdy i niech pan intensywnie pomyśli o tem, co to jest, przez pół godziny, a zwarjuje pan. Bo tu pan nie ma o co wyobraźni zahaczyć.

Umysł ludzki jest z biosfery. Jego poznawczość — to uzgadnianie się z przedmiotem wszyst-

kiemi danemi duszy środkami, nie tylko spekulacją myślową. Ratuje wiara i miłość. Prawda absolutna jest otwarta tylko Bogu. Dla umysłu istnieją tylko zagadnienia i prawdy w duchu, uzgodnione z religją, nauką i doświadczeniem. Ale przecież dużo jest prawd poza horyzontem ludzkim, do których człowiek tęskni. Te prawdy przedmiotowe są zarazem bezpodmiotowe, bo poza człowiekiem. Może one krzyczą o swój podmiot poznawczy, a człowiek nie słyszy... Człowiek je przeczuwa czasem, on ich szuka. Wydaje mu się, że są tragiczne bez niego...

Tragiczny jest tylko człowiek.

— — — — — — — — — — — —

Osobnik, którego nazwałem wyżej filozofem, namówił mnie, abym zwiedził muzeum truskawieckie. Istnieje ono o kilka kilometrów od zakładu, wśród lasów w pobliżu basenu kąpielowego. Tam, gdzie jest teraz ów basen, było niedawno tylko zagłębienie po opuszczonym szybie kopalni wosku ziemnego. Muzeum mieści się w parterowym domu, złożonym z jakichś dziesięciu izb: dwie pracownie, siedm sal wystawowych. Są to zbiory przyrodnicze z dwoma działami: zoologicznym i minerologicznym. Okazy pochodzą wyłącznie z powiatu Drohobyckiego. Muzeum powstało w r. 1928 z fundacji ś. p. Emilji Jaroszowej, żony obecnego właściciela Truskawca p. Rajmunda Jarosza, b. marszałka pow. Drohobyckiego. Do zarządu muzeum wchodzi — oprócz właściciela — p. Roman Jarosz dyrektor zakładu zdrojowego, oraz Jan Jarosz profesor Akademji Górniczej w Krakowie.[1])

Kierownikami i jedynymi pracownikami zbiorów są bracia Saganowie, pochodzący z Drohobycza, wychowankowie pp. Jaroszów. Jeden z nich, Marek, kształcił się naukowo, jako chemik i przyrodnik, w Krakowie i jest kustoszem muzeum, specjalnie zaś twórcą bogatego działu entomologicznego, liczącego obecnie około 20.000 okazów. Kręgowych stworzeń parę setek, minerałów tysiąc. Poza tem trochę wykopalisk, a wśród nich znaleziony przez chłopów kieł mamuta dyluwjalnego. Okazy doskonale spreparowane i wystawione z tendencją pokazywania scen i gniazd z życia przyrody. Całość przynosi zaszczyt Truskawcowi. Budżet roczny (według informacji „Nauki Polskiej“) wynosi 20.000 złotych.

Spiritus flat ubi vult. Byłem trochę oszołomiony niespodzianym widokiem. Nie dziwiłem się już niczemu. Z pomiędzy gablot wyszedł ku nam kustosz zbiorów entomolog p. Marek Sagan. Wzrostem nie dosięga połowy wysokości gablot, które oglądamy; brak mu conajmniej metra do wzrostu normalnego. Głowa człowieka myślącego i bardzo sympatyczna. Słuchamy go z zaciekawieniem i podziwem dla znawstwa i umiłowań.

Wydał mi się stworzonym do podpatrywania przyrody, jak ów Muchołapski z książki Erazma Majewskiego. Coś w nim jest więcej, niż przyrodnik, musi być w jakiemś tajnem z przyrodą porozumieniu i mówi nie wszystko. Pokazywał wiele ale wolałem słuchać i patrzeć w jego oczy, czy nie wyczytam wiedzy tajemnej. Musi być poetą w duszy.

Oglądamy ryby, ptaki, ssaki od myszy do dzika. Słuchamy opowiadań o tem, jak orły się lęgną: pokazane jest gniazdo, w niem pisklę, orlica, orzeł na gałęzi. Słuchamy przy szafie, gdzie żyta poletko, a w niem ukryty Chomik, jak ten zwierz gospodaruje, jak zbiera w żuchwy ziarno, jak je konserwuje na zimę w norze (pokazanej nam w przekroju), jak na wiosnę ma z tego i żywność i alkohol. Istny szlachcic!

Tu znowu lis i borsuk. Nora. Lisowi nie chce się nory kopać, za słabe ma kończyny. Lubi wykurzyć z nory Borsuka i okupować ją podstępem. Dopóty zanieczyszcza mu norę, aż Borsuk, wzór czystości, porzuci swój dom. Borsuk ma mocne łapy i nie leni się — robi norę nową. Ileż w tem analogji do niektórych stosunków rasowych między ludźmi!

P. Sagan najlepiej się czuje wśród swoich owadów. Wysuwa niezliczoną ilość szuflad z kartonami, na których, jak malowane desenie, porywają oko kolekcje robactwa, chrząszczy, a zwłaszcza barwnych motyli. Gdzie on to wszystko znalazł!

Pokazując jakiegoś brzydkiego robaka, opowiadał, że zwie się *Psycheviciella* i jest samiczką tego rodu. Przyniósł ją żywą do pracowni z dużej odległości od muzeum. Nazajutrz, pomimo że drzwi i okna były szczelnie zamknięte, znalazł obok niej trzech samców. Oto one: duże robaczyska uskrzydlone. Poruszenie wśród słuchaczy. Jakże się dostały? — pytają. Przez dziurkę od klucza. — Skąd się dowiedziały, że znajdą tu samiczkę? Ktoś wtrąca słowo: instynkt, jako wytłumaczenie. A kustosz Muchołapski uśmiecha się tajemniczo: łatwo powiedzieć „instynkt“, ale czego: wzroku, węchu? Państwo myślą, że one szukają, błądzą? Nie, one wiedzą, one dążą wprost. W tym świecie życie porozumiewa się na odległość dźwiękowo za pomocą nieuchwytnych dla ucha ludzkiego fal. Tam gdzie dla nas cisza, tam falowe porozumienie. Oto — widzicie państwo — samiczka ma taki na głowie rożek. To jest jej antena nadawcza. Ona wzywa. Samce zaś mają antenę podwójną, jak wąsy; to ich antena odbiorcza.

Ludzie słuchają tajemnic życia tych kilkudniowych istnień, żądnych rozradzania się i przypominają sobie z nauki o przyrodzie, że całą biosferę na globie ziemskim wypełnia nalot istnień od robaka do człowieka, a w tym nalocie owady stanowią więcej niż połowę masy żyjącej. Ziemia niemi żyje w swej powierzchni, depce je człowiek, one z nim walczą (weźmy: pluskwy!) i z jego gospodarstwem. A wszędzie królowanie instynktu. Jakże daleko od instynktu Psychewicielli (czy jak tam) do uniesień poety, któremu cały wszechświat służy za antenę, aby miłość jego stała się wieczystem dwóch dusz złączeniem, rozstrzygającem o losach człowieczych.

Słyszałem o pracy entomologa francuskiego Fabre'a, który dziesięć tomów poświęcił zagadnieniu instynktu u owadów, a dzieło jego jest jednym okrzykiem podziwu dla tej niezbadanej tajemnicy życia. Jakże mało uwagi zwracamy na instynkty człowieka i narodów!

— — — — — — — — — — — — — —

Piszę te rzeczy prawem wakacyjnem, bo cóż mam przywieźć z wakacyj, jak nie zachwyt dla przyrody!

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[1]) Ob. krótki opis tego muzeum w „Nauce Polskiej“, t. XII. Warszawa, 1930, str. 116.

GŁOSY

„ŚWIĘTO LEGJONÓW NAD POLSKIEM MORZEM: w dniu dorocznego zjazdu pierwszych żołnierzy Rzeczypospolitej". Pod takiemi nagłówkami podawała prasa sanacyjna wiadomości, o „zjeździe legjonistów" w dalekiej Gdyni. Piszemy dalekiej, gdyż mimo obsługi korespondentów specjalnych czytelnicy w głębi kraju nie wytworzyli sobie na podstawie relacyj prasowych prawdziwego obrazu uroczystości. Zupełnie inaczej wygląda rzecz w skondensowanych streszczeniach pism lub w wersji radjowej, a zupełnie inaczej przedstawiła się oczom mieszkańców Gdyni.

Upał od rana był wielki. Na wzgórzach dzielnicy willowej rozpostarły się dziesiątki namiotów. Obok sklecono naprędce odpowiednią ilość stołów i ławek. Stanęły improwizowane bary: więc np. „Bufet leguna", „Bufet relutona", „Bufet I brygady", Napisy głosiły: „ćmaga". Nikt z Pomorzan i prawie nikt z przyjezdnych nie wiedział, co to takiego; daremnie zapytywano się wzajemnie i próbowano pouczyć. Pito dowoli, nie wiedząc, że wódka to w gwarze legjnowej „ćmaga", podobnie jak p. Jourdain nieświadomie mówił „prozą". Najpierw jednak tłumy skierowały się nad morze. Przyglądano się im ciekawie. Wypatrywano — legjonisty. Z ust do ust chodziła wiadomość od wiarogodnego świadka, że widział, jak dwuch „legunów" spotkało się i ucałowało z dubeltówki na rynku. Wnioskowano, że musi być przynajmniej paru. W rzeczywistości musiała być garść cała. O udziale ogólnym, zwłaszcza z pośród żołnierzy I brygady, nie mogło być mowy. Ideowy element ten, jak wiadomo, w znacznej mierze ustosunkował się do obecnych rządów krytycznie; kto wie nawet, czy większość legjonistów z I brygady nie jest dziś w opozycji. Zjazd był głównie zjazdem „sympatyków", a przedewszystkiem amatorów darmowego (prawie) przejazdu nad morze. Dalecy jesteśmy od lekceważenia wychowawczego znaczenia takiej wycieczki. Wyraziło się ono znakomicie w samym przebiegu zjazdu, coprawda w sposób trochę nieoczekiwany. „Święto legjonów nad polskiem morzem" miało się przedewszystkiem wyrazić w porannej „akademji", z występami p.p. Sławka, Boernera i in., pod gołem niebem, na molo portu rybackiego. Głośniki rozposzechniały treść przemówień po całej Gdyni. Tysiące uczestników zjazdu, którym kazano czcić Bałtyk, przyszedłszy na brzeg, nie poszło już na akademję, lecz poprostu — zanurzyło się w morzu. Oglądana ze wzgórz gdyńskich w czasie obchodu, uroczystość przypominała jakieś święto religijne Hindusów pod Benaresem — jakieś tłumy, wchodzące do świętej wody Gangesu....

To konkretne uczczenie morza masową kąpielą było z pewnością (dla oka patrzącego z góry) najbardziej wzruszającym momentem uroczystości. Gdy plusk fal nie ogłuszał, kąpiący się mogli słyszeć z eteru nowiny, że rząd obecny jest rządem marszałka Piłsudskiego i że pora się z trudnościami gospodarczemi. Głośniki ryczały, ale nawet przy najlepszej woli przechodnie, przystający na upale, nie mogli długo wytrzymać, a kąpiący się uczestnicy zjazdu — wiele usłyszeć. Na drugi dzień na plaży zaroiło się od starszych sierżantów i kapitanów w rozpiętych mundurach, a całe wybrzeże do Orłowa i wszystkie wzgórza Gdyni pokryły się wielką masą nowych śmieci. Poprzednie, pożółkłe, leżały od dwóch tygodni, jako pamiątka po przyjezdnych na obchód—„Święta Morza".

Z OKAZJI ZJAZDU „LEGJONISTÓW" I „ŚWIĘTA MORZA" doskonale ujawnił się w prasie, zwłaszcza sanacyjnej, deklamacyjny i zewnęrzny stosunek do morskiego elementu. Mówi o tem cytowany już wyżej nagłówek z „Expressu Porannego" (15.VIII): „Święto legjonów nad polskiem morzem". Jest ta jedna z cech charakterystycznych przeżywanego dziś przez nas okresu, że wypada czuć wstyd nietylko za to, co haniebne, lecz często i za to, co wedle intencji urzędowej napełnić ma nas dumą. Tak lichy jest gatunek transmitowanych na społeczeństwo haseł mocarstwowych. Nikt w obozie „sanacji" nie zdaje się domyślać, jak skromna w wyrazie pod wielu względami jest mocarstwowość prawdziwa. „Morze" np., nie potrzebuje przymiotnika „polskie"; „morze" bez określnika znaczy właśnie „morze polskie". Tak jest we wszystkich krajach, które z morzem mają związek odwieczny. Francuz nie jeździ nad „morze francuskie", Anglik zdumiałby się, usłyszawszy wiadomość, że jakiś zjazd odbyć się ma nad „morzem angielskiem". Tam „morze" — znaczy właśnie — angielskie, francuskie; co innego wyprawić się nad morze obce: hiszpańskie czy karaibskie. Stosunek do morza nie jest tam zewnętrzny: mieści się w samem pojęciu państwowo-narodowej egzystencji. — A u nas? Dzieci nie chodzą już do „szkoły polskiej", tylko poprostu do szkoły; nie odbierają zato wychowania, tylko „wychowanie państwowe", i jak dowiadujemy się z gazet, — jeżdzą nad „morze polskie". Tymczasem, jeśli kilkanaście lat wróconej wolności wystarczyło do starcia zbędnego epitetu przy słowie „szkoła", to ileż więcej racji, żeby zwłaszcza w chwilach uroczystych nie psuć bezsensownym przymiotnikiem słowa „morze". Mamy pełny szacunek dla odwiecznych tradycyj szkolnictwa w Polsce; ale morze jest instytucją narodową starszą bez porównania, niż uniwersytet jagielloński. Jest jakaś nieświadomość dziwna rzeczy podstawowych u gorliwców wrażanej społeczeństwu „ideologji" sanacyjnej. Mówi się o „Nowej Polsce". Wynajduje się nowość: „wychowanie państwowe", nie wiedząc o tem, że każde dobre wychowanie jest państwowe. Podaje się przez megafony informację, że jest „morze polskie" — nie pamiętając o tem, że ono — prapolskie.

NA CO UMARŁ MICKIEWICZ?

W CZERWCOWYM zeszycie „Ruchu Literackiego" ogłoszono nieznaną dotąd w druku relację Bednarczyka o śmierci Adama Mickiewicza w Konstantynopolu. Był tego dnia u Mickiewicza i brał udział w ratowaniu jego życia. Relację spisał dopiero w r. 1877. Z powodu tej opowieści „Wiadomości Literackie" zaryzykowały (hipo) tezę, że Mickiewicz zmarł otruty na zlecenie pewnej „wybitnej figury emigracyjnej". A więc zamordowany był przez Polaków i do tego „*pro Christo*".

„Wiadomości Literackie", będące organem sfer inteligencji żydowskiej, powinny były wyrzec się satysfakcji ogłaszania tej tezy. Jest to nieprzy-

zwoitość, gdy rzecz pomyślana w charakterze insynuacji, nie popartej żadnym dowodem, a zarazem prowokowanie odpowiedzi, która nie może być miła żydom. Redakcja zasłoni się oczywiście nazwiskiem p. Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który artykuł napisał, ale dziś nie da się już wyróżnić tego publicysty od innych pisarzy żydowskich; minęły już czasy, kiedy nazwisko polskie gwarantowało polskość duszy.[1])

Założenie p. Żeleńskiego jest takie:

„Mickiewicz, stojący z Rotschildem i Levym na czele „huzarów Izraela“, zbawiający Polskę przez Żydów — nie! Sądzę, że to było za wiele do przełknięcia dla ówczesnego — a nawet dla dzisiejszego — polskiego szlachcica. Czy nie mógł znaleźć się ktoś, kto przyszedł do przekonania, że, aby uratować dobre imię poety dla niego i dla kraju, trzeba, bodaj zbrodnią, przeciąć nić jego życia? *Pro publico bono. Pro Christo*“...

P. Żeleńskiego jakoś niewiele to kosztuje. Postawił sobie dobrodusznie plotkarskie zapytanie: „Czy nie mógł znaleźć się ktoś“... No i puszcza plotkę, że mógł się znaleźć skrytobójca wśród Polaków. I to gdzie? Między inteligencją polską i księżmi (*pro Christo*), którzy na emigracji spierali się z Mickiewiczem o ideę zbawienia Polski.

Dziwne! Czyżby Polacy już wtedy truli przeciwników? Nie słyszeliśmy, aby na emigracji dopuszczano się skrytobójstw nawet w najdrażliwszych walkach między monarchistami a radykałami z Tow. Demokratycznego. W duszy emigranci błogosławili każdą wyprawę przeciw Rosji, nawet Zaliwskiego, więc tutaj, gdy istotnie były pewne podstawy czynnego wystąpienia z okazji wojny koalicyjnej z Rosją, zamordowaliby swego wieszcza, czczonego Mickiewicza? Na to, by mu potem złożyć jednomyślny hołd na królewskim pogrzebie... Za to, że modlił się o wojnę powszechną, że wierzył w Polskę... Gdzież na to jakikolwiek dowód psychologiczny, czy rzeczowy? Żadnego. Ówczesna emigracja wśród „potępieńczych swarów“ i plotek, mogła wiele rzeczy pleść niedorzecznych, ale w tym wypadku nie precyzowała w ten sposób oskarżenia. Podejrzewano otrucie, przypuszczano, że zrobiła to Austrja, może Rosja...

Ale przedewszystkiem kwestja: czy Mickiewicz był otruty?

Nie będziemy o to się spierali. Nie wiemy. Wydaje się to nawet możliwe. Kręcili się koło Mickiewicza ludzie mało znani, nieraz niepewni. Czasy wojny, czasy intryg międzynarodowych, do tego w Stambule. Gdyby stwierdzono, że umarł na cholerę, nie wiadomo, czy pozwolonoby ze względów sanitarnych ciało zatrzymać w domu, a potem przewozić. Władysław Mickiewicz z powodu jednej z takich pogłosek o otruciu ogłosił w prasie paryskiej list protestujący, w którym pisał (podkreślenia nasze, nawiasy podwójne nasze):

„Łatwo uwierzyć w zbrodnię wrogów, którzy tylokrotnie nadużywali jej wobec Polski, ale w tym wypadku prawdą jest, że ojciec mój umarł w kilka godzin na cholerę. Było przy nim dwóch przyjaciół, jeden Polak, drugi Francuz (- (Służalski i Levy) -), którzy tu jego trumnę przywieźli. Czterech lekarzy badało go i każdy z osobna i samodzielnie stwierdził cholerę, co potwierdzone zostało przez badanie zwłok przy balsamowaniu“...[2]).

[1]) Pochop do swego artykułu, wiadomość o legjonie żydowskim i pogląd na niego p. Żeleński zawdzięcza żydowi R. Brandstaetterowi, który ogłosił tendencyjną rzecz o legjonie w „Miesięczniku Żydowskim“, zesz. I — III, 1932.

[2]) Wł. Mickiewicz: „Pamiętniki“, I, Warszawa 1926, s. 239.

Ludwika Gropplerowa, która mieszkała wówczas z mężem w Stambule i żywo interesowała się losem Mickiewicza, w liście do pp. Nakwaskich z 27 lutego 1856 r. pisze:

„Nie było nikogo innego przy śmierci, prócz żyda Leviego, Służalskiego bibuły (- (pijaka) -) i Kuczyńskiego z egipskiego wojska. Był tam także kaimak [1]) osielstwa (- (?) -) medycznego, zasługujący, aby go w ilustracji przedstawić — Drozdowski, ów poczciwy protegowany Góreckiego Narkiewicz, Gembicki (Rosenstrauch) dentysta, pedykur (z Warszawy) i jeszcze jeden felczer. Stali oni w oddaleniu i mówili do siebie: „nie trzeba nic robić, bo Mickiewicz śpi“ [2]).

Na tych właśnie lekarzy powołuje się syn w powyższym liście. Otoczenie, jak widzimy, nie gwarantowało ani znawstwa, ani szacunku dla prawdy (dwuch jednak żydów!) W liście z 25.XI (?) 1855 (data niepewna) Gropplerowa notuje między innemi:

„Kazał się pochować z portretem żony i prosił bardzo, aby nie pozwolono doktorom patrzeć, co się w Jego ciele działo... To straszne było widzieć rozpacz tego francuza (- (Levy'ego) -), który się na trupa rzucił i tak całował, tak ściskał, jak by mu chciał życie oddechem nadać. Również i ten Służalski...“

Czytajmy list Gropplerowej dalej:

„Kazali Go zaraz zabalsamować, zapakować w skrzynię, w której do dziś dnia leży w swoim pokoju; a dwaj Jego towarzysze nie odstępują go na krok... Wiedzieć trudno nawet, czy to rzeczywiście cholera była, bo zupełnie nie zczerniał. — Nadzwyczaj krótko trwała, a tembardziej (dziwne?), że w mieście jej niema“[3])...

Z przytoczeniami powyższemi wiąże się relacja Bednarczyka, na którą się powołuje Boy-Żeleński. Z relacji tej wynika, że lekarzem, który orzekł, że to była cholera, był Dębicki (Gropplerowa nazywa go Gembickim). Słowo „cholera“ padło z jego ust, zanim widział chorego. Według Gropplerowej nazwisko jego właściwe było Rosenstrauch.

Cóż się okazuje — zwracamy się z tem do p. Żeleńskiego — z tych zestawień? Dowodów bezwzględnych na otrucie niema. I to dotychczas opinji polskiej wystarczało, aby przyjąć za fakt cholerę. Ale gdy pismo żydowskie, gdy p. Żeleński wszczynając tę sprawę, rzucają oskarżenie o skrytobójstwo na polską „wybitną figurę emigracyjną“, która dopuściła się zbrodni, to my na zasadzie danych powyższych i tych, które przytoczył sam p. Żeleński, mamy prawo podejrzenie skierować w inną stronę.

Rola żyda Levy'ego jest bardzo wyraźna. Relacje jego i jego towarzysza „bibuły“ Służalskiego okazały się fałszywe. Na widok skutków trucizny usunął się z domu, aby nie było pomocy ratowniczej. Gdy wrócił, Mickiewicz jeszcze żył dzięki zabiegom Bednarczyka. Mickiewicz był nieprzytomny. Nie mógł go prosić, jak świadczył potem Levy, żeby nie robiono sekcji (list Gropplerowej). Poprostu Levy nie chciał dopuścić do sekcji. Pośpiesznie z Służalskim zarządzili balsamowanie i pakę z ciałem zabezpieczyli. A jakie przytem zdenerwowanie! Jaka podejrzana egzaltacja nad zwłokami! Wszyscy kochali Mickiewicza, ale skądże czułość tego żyda z Metzu? Gdyby Mickiewicz umarł na cholerę, Levy nie całowałby trupa...

Nie utrzymujemy kategorycznie, że Levy był tym zbrodniarzem, który otruł Mickiewicza, bo nie

[1]) Kajmak = tur. naczelnik.

[2]) J. Kallenbach „Adam Mickiewicz“. Kraków 1897, t. II, 419.

[3]) Tamże, str. 418.

wiemy nawet, czy było otrucie. „Znowuż to są tylko domysły — powiemy słowami Boya — zapewne...“ Ale chcemy p. Żeleńskiemu pokazać, jak łatwo kierunek podejrzeń zwrócić w inną stronę, w stronę, od której on sam i wogóle żydzi radziby podejrzenia odwrócić.

I Levy i ów lekarz Dębicki (Gembicki) — to żydzi; w głębi stali tacy władni żydzi, jak Rotschild i Camondo. Były czasy wojny, intryg, skrytobójstw. Mickiewicz poruszył drażliwą sprawę żydowską. „Wiad. Liter.“ z p. Żeleńskim odpowiedzą: skądże żydzi mieli to zrobić, gdy Mickiewicz im sprzyjał? A na to odpowiedź: ś. p. Hołówko sprzyjał Rusinom, a jednak zginął z ich ręki. Sam p. Żeleński wspomina, że rząd turecki niechętny był sprawie legjonu żydowskiego, formowanego przez Mickiewicza. Rząd ottomański „bał się ruszyć tej sprawy, bał się rozegzaltować swoich własnych żydów, bał się, że żydzi, raz unarodowieni, mogą oderwać Palestynę od Turcji...“ Cóż było łatwiejszego, jak pozyskać Levy'ego dla tej sprawy. Rząd turecki porozumiał się z bankierami Rotschildem i Camondo. Ci mogli poświęcić lekko Mickiewicza. Czy mieli jakie skrupuły polskie? Gabinet spraw zagranicznych żydowskich ma swoje *locum* w masonerji. Czy możliwe, aby ona i żydzi, którzy parli do rozbiorów Polski, teraz wystawili legjon żydowski do walki z zaborcą? W interesie Polski? Mógł się łudzić co do tego poeta, ale Boy! Niech p. Żeleński spróbuje być dziś poetą i niech się rzuci do formowania legjonu żydowskiego przeciw Niemcom... Gdyby miał autorytet Mickiewicza i nie można byłoby go zbyć śmiechem, zobaczylibyśmy, jak długoby żył.

Wreszcie co do wewnętrznych pobudek Mickiewicza. Żydzi zbyt wiele chcą budować na jego miłości do Izraela — nie tego mistycznego ze Sprawy Bożej Towiańskiego, lecz tego realnego Izraela. Liczył się z faktem ich mnogości w Polsce. Przyczem, nieznając dobrze całego kraju, żył w tym względzie wyobraźnią nowogródzką, widząc w tej masie, jak do dzisiaj nasi kresowcy, jeden z decydujących składników populacji. Chciał w nią wmówić polskość, jak w Jankiela, ale z drugiej strony widział realnie, że zdrowiej będzie dla Polski, jeśli Żydzi się wyodrębnią, będą sobą i dla siebie. Może wtedy zapłoną uczuciem do własnej ojczyzny i wyemigrują...

Władysław Mickiewicz opowiada w swych „Pamiętnikach“, że gdy razu pewnego w Paryżu, sławny już Klaczko (Judel Klaczko z Wilna) w obecności poety wiele rozprawiał o przewagach izby lordów w Anglji, Adam Mickiewicz przerwał mu gadanie, zawieszając grę w szachy, niespodziewanem pytaniem: A jak tam, panie Klaczko, ze szkołami żydowskiemi na Litwie? Klaczko zrozumiał i wyszedł. Mickiewicz, jak sam wyznał potem, chciał mu dać do zrozumienia: Zajmuj się ty lepiej swymi żydami, niż lordami.

To pewna, że idea legjonu żydowskiego, która mu przyszła do głowy w Stambule, gdy patrzał na mnóstwo żydostwa (byli tam jeńcy z wojska rosyjskiego), miała na względzie to, żeby formujące się legjony polskie były od żydów wolne. Nie liczył się z tem, iż Turcja, której zależało na ruszeniu Polaków przeciw Rosji (gdy Rosja buntowała słowian bałkańskich przeciw niej), nie życzyła sobie legjonu żydowskiego.

P. Żeleński zajmuje w Polsce trudny punkt obserwacyjny, jeśli chodzi o jej dzieje, literaturę i wieszczów, bo nie uznaje pojęcia „naród“ (i nie wymówi tego słowa, dla niego: „kraj“) i uproszcza sobie pojęcie człowieka: dla niego narodowość — to czcza formalność, a rasa — przesąd. Zainteresowanie jego Mickiewiczem pochodziło stąd, że widział w nim mieszańca rasowego po matce; to go do niego zbliżało, owa krew po frankistach. W tym roku jednak spotkał go cios nielada, udowodniono bowiem, że matka Mickiewicza była rdzenną Polką. Nastawienie wszakże pozostało. Teraz z pewną pasją robi z Mickiewicza jednak patrjotę żydowskiego, jakoby misją jego wyłączną do Turcji było stworzenie legjonu żydowskiego.

Jak zabawne ma wyobrażenia o rasie (czy metody zacierania), świadczy choćby jego nocja o rodzie Levy'ch. Sekretarz Mickiewicza — według niego — to „Żyd-Francuz osobliwego pokroju“. „Dziadek jego Żyd z Metzu“ ochrzcił się; „ojciec — już zupełny Francuz...“ Jakież były dalsze losy Armanda? Po śmierci Mickiewicza, z którą był tak tragicznie związany, porzucił katolicyzm, przechodząc z powrotem na judaizm.

I jeszcze jedno. Może znajdą się owe dokumenty(?), o których p. Żeleński wspomina, że skompromitują „wybitną figurę emigracyjną“. a co do których związany jest „tajemnicą“ (szczególny dowód dyskrecji!). Wtedy o nich będziemy dyskutowali. Narazie mowa o usiłowaniach publicystki żydowskiej pomniejszenia Mickiewicza i patrjotyzmu polskiego.

Z. W.

P. S. Przy robieniu korekty mam sposobność dopisać, że w ostatnim nrze „Kurjera Warszawskiego“ (232) Stan. Szpotański zamieścił artykuł z powodu wystąpienia p. Żeleńskiego. Pisze on:

„Rzecz wyjaśniona być musi. Boy zawiele powiedział i zawiele kazał się domyślać, aby wolno mu było teraz nie powiedzieć wszystkiego. Ja, jako Polak, protestuję, aby na którymś z Polaków ciążyło podejrzenie o skrytobójczą śmierć Mickiewicza“.

Szpotański widzi w tej bombie cios, wymierzony we Wład. Zamoyskiego. Wyjaśnia, że dr. Gembicki (nie Dębicki) był szpiegiem na rzecz Rosji. On to pierwszy nazwał chorobę Mickiewicza (zanim chorego widział) cholerą i ta opinja się utrzymała.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Od lat szeregu jesteśmy świadkami wielkiego, dotąd wprost niebywałego zajęcia się hymnami kościelnemi; jest to zapewne wynik nietylko duchowej tęsknoty, jaka ogarnia katolików w okresie nowych prześladowań, ale też i odblask nowej ery hymnologji, jaka zdaje się świtać dzięki powstałym niedawno hymnom ku czci Chrystusa - Króla i in. Ożywiona praca hymnologiczna dała i u nas obfite plony. Prof. Sajdak wydał wzorowo hymny Jana Geometresa, ks. Jachimowski pięknie przełożył pieśni Boecjusza, wkrótce ukażą się przekłady poezyj św. Grzegorza z Nazjanzu, a pomyślano już o przekładach Prudencjusza i Seduliusa. Dwaj jednak uczeni i literaci rozwinęli na tem polu najżywszą działalność. Ks. Bronisław Gładysz ogłosił już kilkanaście prac o genezie, tekście i rytmie hymnów kościelnych, zajmując się głównie słynną reformą brewjarza za Urbana VIII. Uzdolniony poeta, ks. Tadeusz Karyłowski, zasłużony świetnym przekładem „Eneidy“, podjął się pracy innego rodzaju, niemniej trudnej, jeśli nie trudniejszej; oto w ciągu lat dziesięciu przełożył wszystkie hymny, zawarte w mszale i brewjarzu kościelnym. Drukowane początkowo po pismach (głównie w „Przeglądzie Powszechnym“) ukazały się obecnie te przekłady w wielkim tomie, nakładem ks. ks. Jezuitów w Krakowie

Ułożył je tłumacz w siedem działów, z których pierwszy obejmuje hymny zwyczajne, drugi hymny psałterza, trzeci hymny na święta Pańskie, dalsze zaś przeznaczone są na uroczystości świętych; wśród tych poważną liczbę stanowią hymny ku czci patronów Polski (św. Florjan, św. Wojciech, św. Jacek, św. Stanisław) i podziękowanie za zwycięstwo chocimskie. Już przez to zbiór ten winien wzbudzić wielkie zainteresowanie czytelnika — Polaka. Ale są i inne powody, które do zainteresowania przyczynić się mogą. Wiele hymnów kościelnych należy do pereł liryki i budzi przez wiele wieków niezgasłe wzruszenie w sercach miljonów ludzi. Dość wspomnieć rzeczy tak niezapomniane jak *„Te Deum“*, *„Salve Regina“*, *„Dies Irae!“*, *„Stabat mater“*, *„Veni Creator“*. Całe pokolenia poetów i muzyków, wśród których nie brak ludzi tak genjalnych, jak Beethoven, Rossini, Goethe, Mickiewicz i Kasprowicz, czerpały stąd natchnienie do swych utworów. Nic dziwnego, że starano się hymny te — w łacińskiej mowie nie wszystkim dostępne — popularyzować przez przekłady. Przekładano je czysto i u nas. Nie brakło przekładów wspaniałych (jak *„Veni Creator“* Wyspiańskiego lub *„Dies Irae!“* Zahradnika), ale częściej trafiają się — i nieraz zakorzeniały się wśród ludu — przekłady nieudolne i bałamutne, dość wspomnieć okropny wprost przekład *„Tantum ergo“*, śpiewany po kościołach w całej Polsce. Przekłady te już tu i owdzie poczęto rugować (np. w archidjecezji krakowskiej), zastępując je nowemi, poprawnemi i zrozumiałemi. Walną w tem zasługę poniósł już przed dziesięcioma laty właśnie ks. Karyłowski, który radząc się nietylko swego natchnienia i talentu, ale i muzyków (zwłaszcza Feliksa Nowowiejskiego) i uczonych, starał się dać przekład nietylko artystyczny, ale przytem możliwie zgodny z rytmiką oryginału i z myślą najlepszych tekstów każdego hymnu. Tu i ówdzie zwiodła go pokusa zbyt wybrednego rymu (wirtuozerją rymów zadziwiał ks. Karyłowski już w przekładzie „Eneidy“), wychodzącego na złe prostocie, jaka bije z oryginałów, całość jednak jest naprawdę udana i piękna; powiedzieć tu należy zwłaszcza o przekładzie hymnu *„Exultet“*, który jest naprawdę arcydziełem. Filologiczne notatki, rzucane jakby od niechcenia w post-skryptach, świadczą, że tłumacz dokonał wprost ogromu pracy. Po Sarbiewskim, Naruszewiczu, Morelowskim, Bohomolcu i Karolu Antoniewiczu nowy poeta z zakonu Jezuitów godzien jest wejść na Parnas polski. (J. B.)

*

Ukazał się polski przekład z niemieckiej książki A r t u r a R u n d t a p. t. „Sowiety tworzą nowego człowieka—wrażenia z podróży po Rosji sowieckiej“. W dwudziestu pięciu lekkich, artystycznie zbudowanych szkicach, obrazowo i barwnie przedstawione tu jest życie Rosji bolszewickiej. Niema tu zachwytów ani oburzeń, ale niema również tchórzliwego chowania swojego na sprawę poglądu. Ton objektywny, na zupełną wiarę zasługujący, zaprawiony jest wytworną ironją, z jaką człowiek wyższej kultury mimowoli ocenia pozy i uroszczenia grubego i ciemnego doktrynerstwa. Znakomite są w ciętym a trafnym dowcipie różne syntezujące uwagi autora. Trzy takie znajdują się już w tytułach szkiców, jak oto: „Człowiek w matrycy“, „Wasyl czeka na maszynę“ i „Azjato! — twój bóg mieszka w Detroit“. Z całości spostrzeżeń autora wynika, że w Sowietach owe cuda techniki i wytwórczości robią wynajęci inżynierowie amerykańscy, którym rząd bolszewicki daje do dyspozycji sto sześćdziesiąt miljonów niewolników. Inżynierowie powrócą do swoich krajów, a w Rosji pozostanie zelektryfikowane stado bydła ludzkiego. Po pięciu takich „pięciolatkach“ cywilizację w Rosji trzeba będzie zaczynać od czasów przedhistorycznych, bo nowy Wasyl przy maszynie zdziczeje do reszty. A zdziczeje szybko, bo w zakresie wychowawczym komunizm zastosował wszystko, co człowieka może cofnąć do goryla.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Piękną książkę o kardynale Richelieu napisał b. ambasador hr. d e S a i n t A u l a i r e (Dunod, Paris). Nie jest to biografja wielkiego polityka francuskiego, ani też historja jego polityki, lecz pewnego rodzaju apologja jego systemu politycznego i wytłumaczenie jego zasług dla Francji. Rzecz jest napisana zajmująco i ze znajomością zasad polityki. (K.)

*

Walkę dolara z funtem szterlingów o hegenomję w świecie omawia E. N. D e l e p y w książce *„La guerre du Dollar“ (Editions Excelsior. Paris)*. Na tle tej walki uwydatnione są epizody takie, jak podróż p. Lavala do Waszyngtonu i pobyt p. Zaleskiego w Londynie. Trzeba zaznaczone powyżej współzawodnictwo mieć stale w pamięci, jeśli się chce rozumieć bieg wydarzeń na terenie polityki międzynarodowej, a zwłaszcza to, co się dzieje w granicach W. Brytanji. (K.)

*

Ukazała się bardzo interesująca książka, napisana przez dr. inż. A l b e r t a K i r s c h a p. t. *„Kaufen und Verkaufen“* (Leipzig 1931 s. 378). Autor poddaje subtelnej i wyczerpującej analizie stosunki, powstające na tle kupna — sprzedaży, zarówno między kontrahentami, jak i między osobami a rzeczą, będącą przedmiotem tranzakcji. (J. P.)

TEATR

„TAJEMNICA ZAMKU“ CROISSET'A

Teatrów w Warszawie jest wiele, wśród nich kilka dramatycznych, a z tych w Narodowym szukać należy rzetelnych zjawisk artystycznych. Może być i utwór obcy—czemu nie — ale z dużej literatury. Utwór Croisset'a ma pozory doskonałej komedji, dramatu, czy melodramatu, ale niema żadnego sensu, więc nie jest z literatury. Bo literatura musi mieć sens, jakieś staranie o prawdę — i to ją różni od kobaretu.

Nie ma zaś podstaw literackich pomysł, który dla oryginalności niszczy prawdę o człowieku. Croisset napisał sztukę z taką tezą: Złą może być tylko kobieta brzydka. Dajmy na to, ale przecież nie każda brzydka jest złą. No tak — odpowiada autor, ale nie każda kobieta wie, że jest brzydką.

Analogicznie możnaby postawić tezę: dobrą może być tylko kobieta piękna. Przecież nie wszystkie piękne są dobre — odpowiedzą na to. Zapewne, ale tylko te, które nie wiedzą, że są piękne itd.

To są dowcipy kabaretowe, nie prawdy żywe. Gdy zaś autor dramatyczny na takim dowcipie buduje gmach sześcioaktowy, to w końcu dowcip, dobry na jedną „kwestję“, bardzo się sprzykrzy.

Bo jak można tak szacować kobietę, że gdy się zniekształci jej twarz, to jednocześnie zniekształca się jej dusza, a gdy znajdzie się genjalny chirurg, który przywróci jej piękność, to staje się z niej anioł. Na takim figlu oparta jest sztuka. W pierwszym akcie znajdujemy się wśród bandy złodziejów. Przewodzi im bardzo brzydka dziewczyna, jakiś bies sprytu złowrogiego, wściekłości na ludzi i nikczemności. Autor potem wyjaśnia, że źli rodzice bili ją, aż dostała konwulsji, która wykrzywiła jej twarz, nos miała połamany, jakieś zgrubienia kości policzkowych. *Miss*-potwór. I to kto? P. Gorczyńska.

Owóż genjalny chirurg zlitował się nad złodziejką i zoperował ją. Już w czwartej odsłonie mamy przed sobą cudo kobietę. Jest jakby nowonarodzona, nie zna dystansu do ludzi, do radości, do dobroci, do miłości. Uczy ją prawdy dziecko, przy którem jest guwernantką (a podjęła się tej misji, aby dziecko zamordować) i młodzieniec, który się w niej zakochał. I oto mamy radosną, poświęcającą się istotę. Dzieje grzechu się urwały... Sprawiła to medycyna.

Dawniej mówiło się o szkole, klasztorze; teraz wystarczy *l'institut de beauté*. Sztuka Croisset'a jest reklamą dla jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa. W teatrze Narodowym wygląda, jak ładnie malowany afisz uliczny, powieszony w salonie.

Reżyserja, gra artystów, wystawa — nie przedstawiają nic do życzenia. Prym wiodą: pp. Gorczyńska, Węgrzyn, Gawlikowski. Trzy gwiazdki — jako dziecko, dobrze się spisywały. Z. W.

ZMARLI

† TADEUSZ JOTEYKO

W WIŚLE na Śląsku, dokąd udał się w celach kuracyjnych, zmarł dn. 20 b. m. ś. p. Tadeusz Joteyko.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu ś. p. Tadeusz Joteyko zajmował w polskiem życiu muzycznem stanowisko niepoślednie, zyskując rozgłos jako kompozytor w zakresie muzyki symfonicznej i operowej. Utwory jego ujawniały zawsze wiedzę i kulturę artystyczną ich autora, dobre też dawały świadectwo poziomowi umiejętności kompozytorskiej, obowiązującemu w Polsce dzisiejszej.

W dziełach Joteyki są fragmenty o wartości nieprzeciętnej, zapewniające ich twórcy trwałe miejsce w historji polskiej muzyki. Do takich należy np. pełna uroku pieśń Bony z opery „Zygmunt August“, słusznie zupełnie popularna i ceniona przez publiczność, a przez śpiewaczki chętnie włączana do ich repertuarów koncertowych. Pomimo włoskiego tematu, pieśń ta jest jednym z najbardziej polskich utworów Joteyki, zawsze przywiązanego do tradycyj muzyki narodowej i pragnącego być godnym ich kontynuatorem.

OFENSYWA

„W OCZACH ZACHODU".

KONIEC zeszłego sezonu wydawniczego w Europie z rezultatem: trzy nowe książki przeciw Polsce t. j. przeciw Polsce obecnej, Polsce sanacyjnej i „elitowej" *(sic)*, przeciw Polsce rządzonej przez Pierwszą Brygadę z przyległościami.

Z tych książek przeciw Polsce, w różnych językach pisanych, możnaby już sobie skompletować bibljotekę, liczącą więcej niż s t o (100) tomów. O Polsce przedrozbiorowej przez 600 lat tyle negatywnych sądów nie wyszło w druku, ile o Polsce z ery dzisiejszej. Nie przeszkadza to w niczem i nie mąci myśli i humoru, nie niepokoi sumień tej kupy s o l e n i z a n t ó w, festynowiczów, paradników, orderomanów, obchodowców, jubilantów, defiladowców, toastowiczów, hurraoratorów, wiwaciarzy i t.p., którzy kierują nami tak na radośnie, na wesoło, na lekko, już całkiem po tromtadracku, ściślej po lodomeryjsku. Dla nich ciągle karnawał i ciągłe „f r a j d y". Z festynu na festyn. Chorągwie wiszą, orkiestry grają, wszystko maszeruje, damy i donny podziwiają, wóda mrozi się w lodzie, auta czekają, z armat walą, jeden mówi, drugi mówi, skończył dziadosz, wyrostek zaczyna: Polska państwo! Polska mocarstwo! Polska od morza do morza! Żyć takim a nie umierać.

A tu tymczasem narasta olbrzymio literatura przeciw Polsce we wszystkich językach. Każdy miesiąc nowe tomy przynosi. Lekce to sobie ważą ci tylko, co tego nigdy do rąk nie wezmą, lub co nigdy w ręku nie mieli tego, co pisano o Polsce zagranicą za czasów Stanisława Augusta. A tymczasem niema dziś narodu i państwa na globie, o któremby tyle złych opinij w druku wychodziło, co o sanacyjnem mocarstwie. Już jest tego więcej chyba; niż o... Sowietach. Solenizanty wiecznie rozpromienione, podgłupiaste, wesołe, szczęśliwe, pucułowate i zachrypnięte z wiwatów i oracyj. A tu tymczasem trzeba już ze smętkiem skonstatować, że dzisiaj, po żydach, zaraz drudzy Polacy z ery Sanacji stają się: „*die bestgehesste Nation des Welt*". Pan Beck i p. Schaetzel zapewne nic z tego wszystkiego nie czytali. Pan Górecki i p. Matuszewski też się tem nie interesują. Pan Sławek sławnie książek wogóle nigdy nie tykał. Świtalski zobojętniał na wszystko, co nie jest tańcem na wulkanie...

W jednym tedy miesiącu trzy książki przeciw Polsce dzisiejszej. Znów amerykańska, znów francuska i pierwszy raz czeska. O niemieckich już i nie wspominamy, bo to obligatoryjne i punktualnie co dwa tygodnie jedna. Z francuskiemi jest tak teraz, że więcej książek nieżyczliwych napisano tam o sojuszniczej, aljanckiej Polsce, niż o wrogich dziedzicznie i inwazyjnych Niemcach, podczas gdy znowu w Niemczech co czas jakiś pojawiają się entuzjastyczne o Francji dzieła (Curtius, Sieburg)... Czem to tłumaczyć i usprawiedliwiać? Kto zanalizuje, pogłębi i wyjaśni rodakom ten problem? Co o tem myślą specjaliści tego zagadnienia: prof. Kot z *Alma Mater*, redaktor Wędkiewicz, poseł Stroński, senator Koskowski, p.p. Smogorzewski, L. Chrzanowski, Karol Kucharski, i inni? Przecież jest to chyba arcyważna sprawa, że przeciw żadnemu narodowi i państwu świata niema tylu oskarżycielskich dzieł, tomów i broszur, ile zebrało się w jedenaście lat przeciw Polsce Pierwszej Brygady?

Teraz mamy trzy nowe pasztety: Louis Duffort: „*L Autre Pologne*" („*Revue Mondiale*"), E. Alexander Powell: „*Thunder ower Europe*", no i bardzo ciężka, nieprzyjemna i dyskredytująca nas w Słowiańszczyźnie książka czeskiego autora Jarosława Vozka...

Z tem, co się w prasie francuskiej czyta o nas arcybolesnego, można się już było oswoić, aczkolwiek taki np. lipcowy zeszyt tygodnika „*Voilà*" z cyklem artykułów E. Roubaud: „Wisła granicą Francji" pod względem ostrości oskarżenia naszych stosunków przeszedł nawet to, co już w drugiej swojej o nas książce pisze von Oertzen... Nie przypominamy też już nowych wystąpień takiej „*Volonté*" („*Il faut que les Polonais sachent que la France ne marchera pas pour defendre la plus grande iniquité du traité de Versailles*"), jako bojętne nam jest, że po podejrzanie entuzjastycznym dla naszych okkupantów artykule „*Je suis partout*" w trzecim numerze zaraz przyszedł bardzo ostro karcący artykuł za zwinięcie francuskiej delegacji wojskowej. To są przemijające i afekty i efekty. Nieprzyjemny atoli ten paszkwil p. Louisa Dufforta. Turysta, który zaczął wojaże po Polsce od Zagłębi węglowych i na początku zamieszkał w Sosnowcu u jakiegoś żydowskiego małżeństwa „Pollack". Widocznie ci państwo „Pollack" bardzo go źle nastroili do Polaków, skoro cała książka jest fontanną czy siklawą sarkazmów i złośliwości, głównie na tle obyczajowem i towarzyskiem, na tle prymitywności manjer i barbaryjności w obcowaniu, co wskazywałoby znów jednak, że p. L. Duffort ograniczył się w Polsce na poznawaniu li tylko „Elity" i że obserwacje swe czerpał ze socjety rozmaitych *ex* wyrostków, *ex* dziadoszów i t. zw. oleandrusów, którzy porobili „błyszczące karjery" i zostali mandarynami zanim jeszcze nauczyli się *bon-ton*'u to jest „że pluć przy gościach należy w chusteczkę, a nie na podłogę"...

Amerykańska książka jest wskroś polityczną, propagandową i *progerman*. Wśród informatorów swoich wymienia autor obok Niemców głównie Węgrów: hr. Schechenyi i delegata do Ligi Narodów p. Pelenyi. Książka p. t. „Grzmot" a raczej „Grzmi nad Europą" jest bogato ilustrowana fotografjami, kłamstwami, entuzjazmem dla Italji faszystowskiej, a pogardą dla faszyzującej Polski. Niby się cieszy *mister* Powell z odbudowy Polski, ale oburza się na tak zaaranżowany rajd Żeligowskiego, na „pacyfikację" Małopolski Wschodniej („Irlandja"?) na ostry kurs na G. Śląsku, na „rabowanie terytorjów", „imperjalizm", despotyzm i t.p. Ale Italję Mussoliniego równocześnie wychwala.

W granicach i obszarze tych samych tematów obraca się książka czeskiego autora. Wykazują to już same tytuły rozdziałów: „Tragedja Białorusinów", „Średniowiecze na Ukrainie Zachodniej", „Wegetujące serce w obcym organizmie: Wilno" no i wreszcie *finale* „Do nowego rozbioru Polski". Jarosław Vozek musi być demokratycznym ekstremistą. Do pasji zdaje się doprowadza go państwo panów—szlachty: Tarnowskich, Radziwiłów, Lubomirskich, Wiślickich... Staje zaciekle „w obronie uciskanych mniejszości", wyraźnie słowiańskich i ludu pracującego. Książka jest apelem do innych narodów słowiańskich, aby izolowały Polskę „imperjalistyczną", rządzoną przez skrajnych, fanatycznych militarystów. Inne militaryzmy, a więc i słowiański militaryzm sowiecki widocznie p. Vozekowi wypadł narazie z pamięci. Osobiście się p. Vozek do Polski nie raczył pofatygować. Wróży więc Polsce bezapelacyjnie katastrofę rozbiorów, zapominając o tem, że po *demembrement* Polski automatycznie i punktualnie przyszedłby rozbiór Czechosłowacji...

Na te trzy nowe tomy antypolskie reagowały już dzienniki nasze: „A. B. C.", „Polonia" i „Poska Zbrojna." To ostatnie pismo wprowadziło od niedawna bardzo kulturalną i inteligentną rubrykę p. t. „Za granicą, co oni czują, co oni piszą". Referat o książce Powella jest już XXXIII-cim referatem z książek politycznych zagranicznych.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że podczas kiedy organ wojskowych sfer nie waha się kontrolować to wszystko, co negatywnego piszą o nas obcy, z tą tendencją uczciwą, żeby zdawać swoim sprawę, jak stoimy w opinji świata, to organ cywilnych pułkowników, roztyłych, spasionych, wyszłych z fasonu Papkinów i Papkindów, Kadenów i Kadetów gaskońskich woli tendencyjnie o tem wszystkiem przemilczać i zatajać, równocześnie narkotyzując swoich ludzi tylko „trjumfami", „sukcesami" obecnemi oraz przepastnie zanudzającemu rozwałkowywaniu i omawianiu zwycięstw i wiktoryj z przed lat kilkunastu, które obecnie z roku na rok wzrastają do rozmiarów Maratonu, Salaminy, i t. p. Niektóre strumyczki i rzeczułki w tych rozdymaniach „speca" Lipińskiego zaczynają już rozrastać się do rozmiarów... Marny. Wszelkie proporcje i wszelkie dystanse zanikają. Bramarbas zastępuje także i Plutarcha.

Cokolwiek zapomina się tylko przy tem o dywizjach sprzymierzonych wówczas Niemiec, które też cokolwieczek przyczyniły się do przepędzenia „Moskali" za siedem rzek i siedem gór, Kaden-Bandrowski głównie, ale i Niemcy także.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z okazji *raid*'u awjonetek publicysta oficjalnej „Gazety Polskiej" snuje „śmiałe" rozmyślania na temat, jak to w epoce, kiedy ludzie z taką szybkością mogą przenosić się z jednego krańca Europy na drugi, z konieczności muszą zniknąć wszelkie „szowinizmy" i zadawnione nienawiści między narodami. Za dawnych dobrych czasów „postępowości", przed laty mniej więcej dwudziestu, kubek w kubek te same dosłownie rozważania czytywało się w powieści dla młodzieży Władysława Umińskiego („Samolotem naokoło świata"), wtedy właśnie w „Przyjacielu dzieci" drukowanej. Nie przypuszczało się, że taki poziom myśli socjologicznej będzie dzisiaj obowiązującą nowością u szczytów obozu rządzącego...

W każdym razie metoda budzenia miłości i usuwanie nienawiści między ludźmi, proponowana przez „Gazetę Polską", powinna być na serjo wzięta pod rozwagę. Dzięki „Gazecie Polskiej" zrozumieliśmy nareszcie, skąd się bierze ta nienawiść zaciekła, jaką „sanacja" zionie ustawicznie w stosunku do wszystkich grup opozycyjnych w kraju. Poprostu brak dostatecznej ilości... awjonetek, nie pozwala na wytworzenie się uczuć serdeczniejszych...

NAJWIĘKSZA FABRYKA MYDŁA W POLSCE
PRZEMYSŁ TŁUSZCZOWY

SCHICHT S. A.

WARSZAWA, NOWY ZJAZD № 1

FABRYKI W WARSZAWIE I TRZEBINI
SKRZYNKA POCZTOWA 149

WYRABIA ŚWIATOWEJ SŁAWY MARKI:

JELEŃ - SCHICHT
MYDŁO

CERES
TŁUSZCZ JADALNY

RADJON
IDEALNY ŚRODEK SAMOPIORĄCY

INNE ARTYKUŁY:

MYDŁA: TERPENTYNOWE „MERKUR“, „PTAK“, „SOAP“, SUCHE, TEKSTYLOWE, SZARE.

OLEJE JADALNE

GLICERYNA CHEMICZNIE CZYSTA, TECHNICZNA I DYNAMITOWA.

TRZECIE WYDANIE
DZIEŁA ROMANA DMOWSKIEGO

ŚWIAT POWOJENNY I POLSKA

Cena 10 złotych.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

PROF. ROMANA RYBARSKIEGO
nowa książka p. t.

Przyszłość gospodarcza świata

Porusza sprawy: przesilenia gospodarczego, położenia rolnictwa i przemysłu w obecnej chwili, współzawodnictwa międzynarodowego, przyszłości obecnego ustroju gospodarczego (kapitalizm i socjalizm) i jego przeobrażeń.

Cena 9 zł.

Do nabycia w księgarniach i kioskach Tow. „Ruch“
Skład główny: Administracja „Gazety Warszawskiej“, Warszawa, Zgoda 5

OSTATNIE PRACE LITERACKIE

ZYGMUNTA

WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff)	3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciech)	2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.“)	1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.“)	5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff)	4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Narod.“)	2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff)	6.—
Dyskusje (Św. Wojciech)	5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff)	4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff)	7.50
Pieśń w górach („Patria“, Dom Ks. P.)	5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff)	4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

NAKŁADEM TOW. WYDAWN. „PATRIA“
UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA:

JĘDRZEJ GIERTYCH

O PROGRAM POLITYKI KRESOWEJ

Z PRZEDMOWĄ AL. DĘBSKIEGO
B. WOJEWODY WOŁYŃSKIEGO.

(Cena zł. 4.50)

Skład główny w Domu Książki Polskiej
Do nabycia we wszystkich księgarniach

TREŚĆ:

Manowce wychowawcze *L. Jaxy-Bykowskiego*. — Ochrona mniejszości a idea państwa *Zb. Włada*. — Z dziejów Pomorza *A. Wojtkowskiego*. — M. S. Gumilow i „akmeiści“ rosyjscy *T. Parnickiego*. — Na widowni *Z. Wasilewskiego*. — Głosy. — Na co umarł Mickiewicz? *Z. W.* — Nauka i literatura. — Teatr *Z. W.* — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.